NOWOŚĆ!
FLORIAN CZARNYSZEWICZ
WICIK ŻYWICA
Powieść.
Cena z przesyłką 18/6.
Do nabycia:
w VERITAS FOUND. PUBL. CENTRE,
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh.

P. KALINA
SŁOWNIK NIEMIECKO-POLSKI
I POLSKO-NIEMIECKI
w 2 tomach
Cena 56/-
Do nabycia w Veritas F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W. 2

ROK VII. Nr 26/314

LONDYN, 28 CZERWCA 1953 R.

KS. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

TROCHĘ O SZKOLNICTWIE

Niemała to rzecz szkolnictwo. Sześcio, nawet pięcioletnie dziecko poprzez długie lata większość dnia, ba nawet można powiedzieć cały dzień spędza w szkole. Szkoła jest jednym z tych środowisk, które może mieć największy wpływ na urabianie dzisiejszego człowieka.

Coraz bardziej zgłębiamy przemożny wpływ środowiska na człowieka, czy to w okresie jego młodości, czy nawet u dorosłego, a cóż dopiero u dziecka i u młodzieży.

Nic też dziwnego, że zagadnienie wychowania w ogólności a także w swym zasięgu szkolnym staje się jednym z pierwszych problemów nauki i powszechnego zainteresowania. Stąd wynikają zacięte walki i polemiki o wpływ na wychowanie i szkoły.

Źle świadczy o społeczeństwie, jeżeli nie interesuje się ono sprawami wychowania, odsuwając je na dalekie plany lub uspokajając swe sumienie, że ta sprawa powierzona jest fachowcom, państwu czy Kościołowi.

Wstrząsy XX wieku, idące poprzez świat cały, nie wyłączyły myśli ludzkiej z kręgu tych zagadnień, a przeciwnie, zagadnienia odnoszące się do wychowania i szkolnictwa stają się dziś kluczowymi.

W Polsce w latach 1918 — 1939 szkolnictwo nasze uległo wpływom myśli pozytywistycznej a przy rozwijającym się etatyzmie potrafiło stworzyć pewien odcinek życia społecznego zamknięty, oddzielony od społeczeństwa magiczną legendą fachowości, tak że sprawy wychowawcze zabezpieczono przed ogólnym zainteresowaniem.

Emigracja dalej żyje tym samym nawykiem i nie bardzo wie, co się dzieje na tym odcinku i nie bardzo chce się dowiedzieć i sięgnąć po należne jej wpływy na zagadnienia wychowawcze.

Katolik dzisiejszy nie może być obojętny na sprawy wychowawcze. Członkowie Akcji Katolickiej są wezwani samą ideą Akcji Katolickiej, by przygotowywali się do pielęgnowania myśli katolickiej w wychowaniu i w szkole.

Pius XI w czasie swego pontyfikatu między dwiema wojnami przygotowywał katolików do czynnego udziału w życiu społecznym wskazując jaką jest ich rola w oparciu o hierarchię, której nieść winni pomoc.

Otwierał on te widnokręgi zagadnień w świetle katolickiego światopoglądu, a następca jego, Pius XII mówi i uczy, jak penetrować winna katolicka myśl w każdą dziedzinę myśli i czynu ludzkiego.

Obecny papież daje wskazówki tak astronomom, jak i prawnikom. Lekarze mogli wraz z psychiatrami i psychologami usłyszeć odeń wskazania oparte o dorobek nauki dzisiejszej, tak jak wychowawcy usłyszeli wskazania dotyczące wychowania sumień i niebezpieczeństw grożących ze strony fałszywych kierunków filozoficznych.

Cóż my na to — Polacy?

Jaki nasz udział w związkach katolickich lekarzy lub pielęgniarek zawodowych i ich światowych federacji? Czy mamy je? Czy słyszeliśmy o jakichś katolickich związkach prawników? Czy ktoś kiedyś wygłosił fachowy odczyt o obowiązkach katolickiego obrońcy prawnego?

Czy nie stać nas na związek katolickich nauczycieli? Och! Już widzę przestrach. Co by na to powiedziały władze szkolne? Co by na to powiedzieli koledzy innego wyznania?

Takie czy inne rzekomo ważne hamulce krępują sumienia katolików, którzy nie wyrabiali swego światopoglądu pod kierunkiem głosów Stolicy Apostolskiej. Tam gdzie je usłyszano, powstają zrzeszenia myśli katolickiej na przeróżnych odcinkach życia ludzkiego, z czego się rodzi apostolstwo świeckich.

Wróćmy do zamierzonego celu niniejszego artykułu: do zagadnień wychowania i szkoły.

Przed wojną laicyzm o linii pozytywistyczno-radykalnej był dominującym kierunkiem w naszym szkolnictwie i w oparciu o siłę panującego etatyzmu stworzył Związek Nauczycielstwa Polskiego. Nie znaczy to jeszcze, że wszyscy nauczyciele polscy nie byli katolikami, ale zasady i tendencje rozsiewane przez Związek nie były katolickie.

Emigracyjna organizacja nauczycielstwa polskiego utrzymuje niezmiennie swoją przedwojenną linię ideową.

.Czy jednak katolicki pogląd na wychowanie i szkołę nie wymaga od katolika zgłębienia i zbadania podstawy ideowej wychowawców naszych dzieci, jak też świadomej, czynnej akcji katolickiej w tych sprawach?

Katolik nie ma najmniejszej podstawy do jakiegoś poczucia niższości wobec sloganów zacofaństwa i reakcjonizmu, kierowanych przeciw niemu przez wielu spośród tych, którzy sami przyznają, że kierunek myślowy, na którym się opierali — pozytywizm i materializm — zbankrutował.

Myśl katolicka odradzając się w żywotności tomizmu i jego „praktyczności", przeczekawszy entuzjazmy nowoczesności i postępu w XIX i na początku XX wieku, wyrasta ponad te prądy, które tak krzykliwie głosiły swój pozorny i przedwczesny tryumf.

Łatwo się o tym przekonać, ale nie trzeba się lenić i uchylać przed wysiłkiem.

Stając przed jakimś problemem umysł ludzki ujmuje go w podziały, a więc:

Najpierw istotne założenie, następnie drogi i technika potrzebna do osiągnięcia celu.

Jakie jest w pedagogice podstawowe zagadnienie?

Jest ono podobne do wielu innych zagadnień dotyczących człowieka.

Kim jest człowiek? Jaka jest jego natura i dokąd każe ta natura jednostce iść i do czego dążyć? Od odpowiedzi na to i na związane z tym dalsze pytania zależy kierunek podagogiki i głęboki rozdział obozów sobie przeciwnych.

O. Bocheński w jednym ze swoich „Sed contra" pod tytułem „Przymierze", w ŻYCIU z 7 czerwca b. r., tak lapidarnie ujmuje pogląd katolicki na Boga i stosunek człowieka do Stwórcy i poglądy obozów przeciwnych, które inaczej pojmują Boga, a mają pełne usta słów: „ludzkość, nauka i postęp".

A tych pytań nasuwa się wiele.

Jest że człowiek innym i różnym od zwierzęcia w istocie swej natury?

Jaki jest stosunek jednostki do narodu?

A czym jest moralność? Czy płynie ona z potrzeb wymagań społecznych, a więc jest zmienna i relatywna? A może ta moralność da się ustalić potrzebą jednostki?

Czy państwo jest dla człowieka, czy człowiek dla państwa? Czym jest wolność — uprawnieniem czy przywilejem?

Wszystkie odpowiedzi na powyższe pytania znajdą się u podstaw pedagogii, podzielą ją i wsuną do ręki inne metody działania wychowawczego zwolennikom tej czy innej myśli filozoficznej, a tym samym nie połączą tych, których różnią założenia światopoglądowe.

W czasie klęski francuskiej w 1940 roku Polak dobrze znający Francję z końcowego okresu pierwszej wojny zapytał się Francuza, jak się to stało, że w okresie tych 20 lat tak się odmienił duch francuski, który wywalczył poprzednie zwycięstwo.

Nauczyciel odpowiedział na to: „To nasze dzieło — my bowiem, nauczyciele, w szkole wpajaliśmy w młodzież, że nie ma ideału, nie ma ojczyzny, której by się coś więcej od jednostki należało, jak tylko oddanie tego, co się bierze. Nie ma więc żadnego obowiązku, który by przewyższał jego osobę. I oto rezultat! Odebraliśmy młodzieży wszelkie ideały zaczynając od Boga, a więc nie ma po co się bić, ani o co walczyć. Nie nauczyliśmy ich chcieć."

Oto kierunek naturalistyczny w pedagogice, która błędnie określiła naturę ludzką i cel człowieka.

Cała bowiem pedagogika, jeśli ma wychowywać zgodnie z prawdą i prawem życia, musi swe dzieło oprzeć na prawdziwej koncepcji życia ludzkiego.

Niezmienna w swych założeniach filozofia katolicka daje stałość i niezmienność prawdy o człowieku, jego naturze i celu. Dlatego jest pedagogiką wieczystą, pedagogia perennis.

Umiejąc jednak stosować swe metody wychowawcze do zmiennych warunków życia używa pedagogii temporalis — pedagogii w czasie.

Dobra szkoła pedagogiczna miała dobrych filozofów, jako swych twórców, a błędy myśli paczyły kierunki pedagogiczne i tworzyły nowinkarstwo pedagogiczne, które porywa i zachwyca wielu nierozważnych entuzjastów.

Naturalizm pedagogiczny, który zakłada, że człowiek różni się od zwierzęcia tylko stopniem rozwoju, a nie naturą, zbudował kierunek pedagogiki ewolucjonistyczno-pozytywistyczny poprzez A. Comte'a, Haeckla i dzisiejszych psychologów, jak J. B. Waston i Thoredike w Ameryce, Peron i Wallon we Francji.

Socjologizm pedagogiczny głosi, że człowiek tylko tyle przedstawia wartości, o ile jest związany ze społeczeństwem, a więc jako osobą nie ma się nim co zajmować. Wybitniejszymi przedstawicielami tego kierunku są: E. Durkheim, Lilienfeld, Marx, Engels, a dzisiaj Devey w Ameryce i Bougle we Francji.

Zacytuję dobre określenie istoty tego kierunku socjologicznego w wychowaniu: „Człowiek jest tym, czym jest, bo jest istotą społeczną — a nie jest istotą społeczną, dlatego, że jest człowiekiem" (Planchard).

Encyklika „O wychowaniu chrześcijańskim" Piusa XI określa jasno, czym jest pedagogika chrześcijańska.

Muszę się na krótko zatrzymać na referacie wygłoszonym w dniu 16 maja b. r. w Londynie na konferencji poświęconej sprawom oświaty w Kraju i na Emigracji pod tytułem: „Wytyczne pracy oświatowo-wychowawczej poza granicami Kraju", jako typowym dla nauczycieli o kierunku socjologicznym z zabarwieniem uczuciowym.

Co uderza w tym referacie? Uproszczenia myślowe natury propagandowo-demagogicznej. Powoływanie się na autorytety, jak św. Paweł, czy Arystoteles z wyrwanymi lub naciągniętymi, dla z góry obranej tezy, cytatami. Tezą tą jest kierunek socjologiczny jako „nowoczesny i naukowo udowodniony".

Prelegent chce wykazać, że jest przestarzałym pogląd jakoby człowiek w swej istocie był rozumnym stworzeniem. W tym referacie przypisano równą winę powstania pozytywizmu i racjonalizmu Kantowi i tomizmowi w zdaniu: przede wszystkim oni umysłowi przypisują zbyt wielką rolę w naturze ludzkiej".

Dalej prelegent cieszy się, że intelektualizm pedagogiczny rozpoczął odwrót poprzez „szkołę pracy" Devey'a i poprzez pokrewne kierunki. Naturalnie przemilcza wielkie kampanie przeciw temu kierunkowi, który paczy rzeczywistość natury ludzkiej. W swych błędnych założeniach mając takie czy inne rezultaty stworzył kierunek, który zbiera już zatrute owoce swych wysiłków, bo oparł się o fałszywe pojęcie natury ludzkiej. Co gorsza, prelegent używa wielkiego słowa „chrześcijaństwo" i na poparcie tego cytuje definicję miłości św. Pawła — wyrwaną z całości i nieściśle komentowaną.

Jakie jest prawdziwe pojęcie miłości chrześcijańskiej?

Czy to odruch serca wywołany uczuciem, barwiący skórę falą krwi? Czy odwrotnie — skurcz naczyń krwionośnych, które wywołują bladość twarzy i drganie ust i kończyn? Ejże, nie bałamućmy sentymentalizmem pojęcia prawdziwej chrześcijańskiej miłości i nie obniżajmy jej do uczuć tylko i wzruszeń.

Jest ona bowiem potężnym zrywem woli rozumnej, chcącej łączyć się z dobrem i służyć mu, a jest urobiona na modłę wzniesienia się ku najwyższemu Dobru, by Jemu „samemu służyć", jako celowi odpowiadającemu naturze ludzkiej.

Innym razem prelegent nadużywa słowa „chrześcijański", kiedy mówi o miłości bliźniego tego samego rodzaju w oparciu o autorytet św. Pawła. Przejawia się tu hołdowanie kierunkowi socjologicznemu w pedagogice, z zastrzykiem sentymentalizmu wynoszącego rolę uczuć ponad umysł i wolę.

By wychować młodzież w miłości bliźniego po chrześcijańsku i wytyczyć jej tym samym w chrześcijańskim zrozumieniu rolę jej w społeczeństwie, na to trzeba przede wszystkim dać młodzieży poznać Boga i dla Niego dopiero uczyć miłości i służby bliźniemu i bliźnim.

Bo jaka jest istota religii chrześcijańskiej i rzeczywiste oblicze chrześcijanina? „Miłość Boga i miłość bliźniego dla Boga". Oto dwa przykazania miłości, które Chrystus ogłasza w odpowiedzi na pytania faryzeuszów: „Mistrzu, które jest największe przykazanie w prawie?... Będziesz miłował Pana Boga twego... To jest największe i pierwsze przykazanie. A drugie podobne temu: Będziesz miłował bliźniego..." (Mat. XXII. 36-38).

Jeśli się używa słowa chrześcijaństwo, to zamykając je w pojęciu słowa „miłość", nie domówiło się wiele. Miłość chrześcijańska bowiem poprowadzi ku ofierze Mszy św., do Kościoła powszechnego, skieruje ku Sakramentom i dalej ku pełni chrześcijaństwa. Bez tego ten wyraz „miłość" postawi nas w jakimś fałszu i wypaczy to wielkie słowo.

Pod opieką różnych prądów filozoficznych wtargnął w życie ludzkie i w jego różnorakie przejawy laicyzm, który oddziela człowieka od Boga lub spycha Boga poza nawias publicznego i społecznego życia, w zaułki prywatnych upodobań.

Nie można zaprzeczyć, że między wojnami laicyzm zapanował w oficjalnym kierunku naszego szkolnictwa w Polsce, tolerując naukę religii jako konieczność. I dziś na emigracji nasi działacze szkolni i oświatowi w dalszym ciągu porwani „nowoczesnością", która w rzeczywistości już nią dawno nie jest, nie ostudzili swego entuzjazmu, a przeciwnie zachwycają się „modern school" czy w W. Brytanii, czy w Ameryce, chcąc polskie szkolnictwo dziś i w przyszłości budować na tych wzorach. Te jednak wzory są już zwalczane w tych krajach poważnymi argumentami czerpanymi z doświadczeń życia.

Głosy katolickie, jak też i b. głębokie badania naukowe, które wykorzystują wszelkie doświadczenia różnych kierunków, z rozważną i głęboką obserwacją przestrzegają przed pochopnym entuzjazmem dla tych „postępowości". Szkolnictwo katolickie tu w Anglii, które umie metody nowoczesne zastosować w duchu katolickim, rozwija się i coraz bardziej posiada uznanie także u przeciwników i innowierców.

Niech kilka cyfr wykaże, jaką przyjmuje postawę „dzisiejsze nowoczesne" społeczeństwo w Ameryce wobec szkół państwowych z ich metodami najbardziej „modern".

„W jesieni r. 1952 biskup Rochester (Ameryka) zwrócił się do swych diecezjan o zebranie 3.043.000 dolarów na koszta utrzymania i rozwoju szkół średnich. Mimo częstych zbiórek w tych ostatnich latach na inne potrzeby diecezji, zebrano w ciągu 15 dni 4.505.000. W poprzednim roku podobną hojność wykazała diecezja Indianopolis..." Katolicy wolą równocześnie płacić i podatki na państwowe szkoły i mieć swe prywatne katolickie szkolnictwo. (Diecezja Rochester miała w r. 1950 — 320.700 katolików).

Podobnie jest w Anglii, we Francji i innych krajach.

Amerykańscy biskupi katoliccy widząc skutki laicyzmu w szkołach, który tam się wcisnął i panuje we wszystkich dziedzinach życia publicznego, wydali odezwę przestrzegającą przed laicyzmem. Podkreślają oni, że krzewiciele laicyzmu starają się szkołę laicyzować, usuwając wychowanie religijne, monopolizując szkolnictwo i oświatę.

Po tej odezwie biskupów katolickich zabrała głos Narodowa Rada Kościołów Chrystusa (National Council of Churches of Christ — organizacja protestancka). I oni przestrzegają przed laicyzmem, ale Rada uważa, że osobista postawa nauczyciela nadaje szkole ton chrześcijański. Nam, katolikom, ten protestancki liberalizm nie wystarcza.

Naucza nas bowiem encyklika „O chrześcijańskim wychowaniu", że wtedy tylko szkoła jest katolicka, gdy cały program nauczania jest zgodny z nauką katolicką. Niemniej jednak biskupi katoliccy całego świata domagają się, by nauczyciel wychowujący młodzież katolicką, sam żył według zasad katolickich i by jego wychowawcze działanie było oparte o przykład jego życia.

Dlatego katoliccy rodzice mają i prawo i obowiązek domagać się, by nauczyciel ich dzieci nie był — przynajmniej publicznie — w sprzeczności z prawem Boga i ładem Kościoła katolickiego. Laickie państwa zaprzeczają Kościołowi prawa wychowania. Obraz tej walki o wychowanie oglądać możemy w systemie komunistycznym, a nie jest to przykład jedyny w całym świecie.

Postawa naszej emigracji wobec szkół laicystycznych w krajach, w których mieszkamy, musi być zgodna ze wskazówkami Episkopatu danego kraju, a wobec naszych polskich zagadnień szkolnych i oświatowych na obczyźnie musi być jasna, w pełni religijna, broniąca się przed kierunkami i zabarwieniami laicystycznymi.

W naszych duszach winna brzmieć trwale i mocno pieśń śpiewana z męstwem w Warszawie w czasie ostatniej procesji Bożego Ciała: „My chcemy Boga, Panno Święta, w książce i szkole..."

Więc zainteresujmy się zagadnieniem szkoły i wychowania katolickiego, my katolicy!

Ks. Włodzimierz Cieński

SED CONTRA

TRUTKA

Niech p. Jeśman, o ile mu ten felieton w ręce wpadnie, przyjmie ode mnie serdeczne podziękowanie. Osmarował mnie wprawdzie z lekka, jak i niektórych innych, ale za to pięknie opisał „dawne dobre" czasy i co ważniejsze, już drugie „Sed contra" jemu zawdzięczam, mianowicie niniejsze. Przypomniał mi bowiem moje własne odwiedziny w Rubensie i coś co mnie wtedy znacznie bardziej uderzyło od owych przez niego ciekawie (choć może zgodnie ze znanym jego temperamentem) zreferowanych faktów. Tym czymś była mianowicie trutka dawana „cichociemnym" w VI Oddziele na lot do Polski; ponoć musieli w dodatku przysięgać, że zażyją jej w razie gdyby mieli wpaść do niewoli. Przysięgali także — tak słyszałem przynajmniej — że dobiją rannego kolegę. No cóż, powiedzą mi Państwo? Ordynarne, pogańskie barbarzyństwo. Niestety, ów VI Oddział, to było naprawdę cośmy mieli najlepszego w Rubensie, a może i w całym wojsku. Myślę, że wielu, bardzo wielu z cichociemnych lecących z trutką i tą świętokradzką przysięgą do Polski, nie zdawało sobie w ogóle sprawy z ogromu obiecanego grzechu. A że czasy są niespokojne i te rzeczy mogą się powtórzyć, obowiązkiem moralisty jest powiedzieć możliwie najwyraźniej, jak z tym naprawdę jest.

Jest, jak napisałem: nie wolno i koniec. Nawet wtedy, gdy wiem, że wydam tajemnicę wojskową? Nawet gdy z tego wyniknie bardzo wielka szkoda dla Sprawy? Odpowiedź: nawet wtedy. Normy moralne są bezwzględne. Żaden cel, nawet największy, nie upoważnia do czynu samego w sobie złego; takiego czynu nie wolno nigdy użyć jako środka. Ja doskonale wiem, że to wielu naszym nie w smak. Ale ja także wiem dlaczego: bo oni ową Sprawę — zwycięstwo — stawiają na pierwszym miejscu, przed Bogiem, przed uczciwością. „Dobro narodu (państwa) jest najwyższym dobrem". Tylko, że to mnie nie wzrusza, bo to pogaństwo, barbarzyństwo, dno nędzy moralnej, zupełne zaprzeczenie podstaw uczciwości. Z tego rodzaju postawą polemizować mogę równie mało jak z owym bykiem, o którym tak trafnie wspomniał Chilon Krotonowi w „Quo vadis?".

Po co więc piszę? Po to, aby usunąć inne nieporozumienie, poważniejsze, nie pogańskie, ale wynikłe z błędu w rozumowaniu opartym zresztą na chrześcijańskich przesłankach. Błąd ten usunąć nie jest łatwo, bo potrzeba na to trochę umiejętności ścisłego myślenia; mimo wszystko spróbuję.

Więc najpierw referuję sofizmat. Mówi się tak: chwalimy człowieka, który życie swoje oddaje za ojczyznę; na przykład żołnierza, który ginie wysadzając prochy albo japońskiego lotnika, który rzuca się z samolotem naładowanym dynamitem na pokład nieprzyjacielskiego okrętu. Dlaczegoż więc nie moglibyśmy chwalić owego cichociemnego, który zażywa trutki, aby uchronić tajemnicę wojskową, równie może ważną dla nieprzyjaciela jak owe prochy, czy ten okręt? Poświęcenie życia jest w jednym i drugim wypadku środkiem do tego celu. Nie ma różnicy.

Otóż różnica jest, a mianowicie następująca. W wypadku lotnika mamy: 1. czyn, polegający na skierowaniu aparatu w dół, na okręt; 2. dwa skutki tego czynu: (a) zniszczenie okrętu, (b) śmierć lotnika. Jak widać, ta ostatnia nie jest środkiem, ale tylko (koniecznym) skutkiem czynu, wynikającym z niego równolegle z celem wojennym. Zamierzony jest tylko ten cel wojenny, zniszczenie obiektu; śmierć wynika ubocznie ze środka w sobie neutralnego. Natomiast w wypadku cichociemnego sytuacja jest zgoła inna. Mamy tutaj: (1) czyn, połknięcie trucizny; (2) bezpośredni skutek czynu, zamierzony, śmierć; (3) skutek tej śmierci: ochrona tajemnicy. Różnica jest zasadnicza. W tym wypadku skutek wojenny (moralnie dobry) osiąga się nie za pomocą czynu w sobie neutralnego, ale poprzez samobójstwo zamierzone jako środek. Cichociemny popełnia samobójstwo, lotnik japoński nie.

Dlaczego taka sytuacja jest moralnie niedopuszczalna? Dlatego, że to co ze swojej natury jest złe (n.p. kłamstwo, zdrada, samobójstwo) nie może być nigdy uświęcone przez żaden cel. To jest sens podstawowej normy etycznej, głoszącej, że cel nie uświęca środków; należy rozumieć: złych. Cel uświęca natomiast środki obojętne. Wolno ich używać do dobrego celu, nawet gdy się przewiduje, że równocześnie wyniknie stąd ubocznie coś złego. Natomiast nie wolno zamierzać jako środka czegoś, co jest w sobie złe, choćby dalszy cel był dobry.

Ja się domyślam, co niejeden z naszych wojaków powie: że to scholastyka, subtelności i tak dalej. I w rzeczy samej, to jest scholastyka, bo nauka św. Tomasza z Akwinu: a subtelne jest, wymaga poruszenia mózgiem. Gdyby ono stanowiło zbyt wielką przeszkodę, niech wolno będzie zwrócić uwagę na następującą okoliczność: trudność nie polega na zrozumieniu dlaczego czyn cichociemnego jest zakazany, ale na pojęciu, jak atak japońskiego lotnika może być dozwolony. Jeśli kto tego nie pojmuje, niech lepiej nie rzuca się z samolotem na nieprzyjaciela, ani nie czyni nic podobnego; natomiast niech, na miłość Boską, da spokój dawaniu innym trutek, niech nie wymaga od nich świętokradczych przysiąg. Niech zrozumie, że postępując tak pogwałciłby najświętsze zasady naszej wiary, a przyznał się do etyki nie tylko Macchiavellego, lecz także Hitlera i Stalina.

I. M. B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Ataki na św. Stanisława w Polsce. W roku, w którym przypada 700-letnia rocznica kanonizacji św. Stanisława, prasa reżymowa w Polsce rozpoczęła kampanię mającą na celu zniesławienie świętego Patrona Polski. Twierdzi się, że św. Stanisław jest symbolem odwiecznego mieszania się Stolicy Apostolskiej w wewnętrzne sprawy Polski wbrew jej interesom. Komuniści starają się dowieść na rzekomym materiale historycznym, że Kościół katolicki od 9 wieków stale knuje intrygi przeciw narodowi polskiemu, aby pozbawić go niepodległości. Gra jest aż nadto przejrzysta, a odpowiedzią na nią była między innymi manifestacja w dniu 8 maja w Krakowie, gdzie tłumy pątników podążyły na Skałkę, by oddać hołd Patronowi Polski i prosić Boga za jego przyczyną o pomoc w ciężkich zmaganiach o duszę Narodu. Nie można dziwić się kampanii komunistów w Polsce przeciw wszystkiemu, co święte — przykro, że temu sekundują w sposób niewybredny niektórzy Polacy na emigracji, którzy piszą lub zamieszczają w prasie ataki na świetlaną postać królowej Jadwigi.

O procesie krakowskim. W tych dniach ukazał się na półkach księgarskich w Polsce obszerny tom, wydany w olbrzymiej ilości egzemplarzy, p. t.: „Proces księdza Lelity i innych agentów wywiadu amerykańskiego". Jest to propagandowa broszura obejmująca kłamstwa i oszczerstwa przeciw kościołowi w Polsce i będąca dalszym ciągiem kampanii rozpoczętej pokazowym procesem w Krakowie.

Nauczanie religii w Polsce. Z wielu szkół średnich, a nawet elementarnych w Polsce usunięto już całkowicie religię z programu szkolnego i zabroniono używania sal szkolnych dla katechizacji dzieci. Wobec tego księża wypracowali plan katechizowania dzieci poza szkołą. W niektórych diecezjach, zwłaszcza zachodnich, wprowadzono sześć lat katechizacji. Pierwsze dwa lata prowadzą katechetki w pojedyńczych wsiach. Dalszym nauczaniem zajmują się sami księża.

Nauka katechizmu odbywa się w kościołach. Oprócz tego rodzice sami zajmują się nauczaniem katechizmu, czytaniem dzieciom Pisma Świętego, odmawianiem wspólnych modlitw oraz wyjaśnianiem zasad religijnych. System ten daje doskonałe wyniki. Dzieci, pomimo propagandy bezbożnictwa, są dobrze przygotowane pod względem religijnym, a ponadto zacieśnia się coraz bardziej rodzinna więź poprzez praktyki religijne, w których biorą udział wszyscy członkowie rodziny.

Odznaczenie prof. O. Haleckiego. Podsekretarz stanu msgr. Giovanni Montini wręczył prof. Oskarowi Haleckiemu nominację papieską na tajnego szambelana Jego Świątobliwości (Cameriere secreto di spada e cappa di Sua Santita). Ceremonia odbyła się w gmachu ambasady polskiej przy Watykanie w ciągu przyjęcia dla korpusu dyplomatycznego, wydanego przez ambasadora Papée.

Tytuł tajnego szambelana jest godnością honorową, istniejącą od czasów Papieża Urbana VIII. Wśród szambelanów czterech jest „zwykłych" (di numero), którzy pełnią funkcje przy uroczystościach watykańskich. Nadliczbowych szambelanów jest obecnie około 250. Mają oni prawo noszenia czarnego stroju hiszpańskiego ze szpadą, złotym łańcuchem i medalionem papieskim. Należą oni do dworu papieskiego i cieszą się tytułem tak długo, jak długo żyje Papież, który ich mianował. Oprócz nich są ponadto szambelani honorowi „di spada e cappa", których jest obecnie około 150 i którzy mogą pełnić mniej ważne funkcje w sali tronowej.

Prof. Halecki przebywał w Rzymie od października ub. r. do końca maja b. r., zbierając w archiwach watykańskich materiały do pracy o Unii kościelnej p. t. „Od Florencji do Brześcia".

Msze św. wieczorne na morzu. Św. Kongregacja Oficjum wyjaśniła, że zgodnie z konstytucją apostolską „Christus Dominus" biskupi-ordynariusze mają prawo zezwalać na odprawianie Mszy św. wieczornych na okrętach w czasie ich podróży morskich. Kompetentnym w tym wypadku jest ordynariusz, na którego terytorium znajduje się macierzysty port okrętu.

Posąg wielkiego biskupa i patrioty. Projekt budżetu Brukseli przewiduje kredyt 500 tysięcy franków belgijskich jako subsydium na dokończenie wzniesienia statuy kardynała Mercier'a na placu naprzeciw kościoła św. Guduli.

Kongres pisarzy katolickich. W drugiej połowie maja w Coimbatore w Indiach odbył się kilkudniowy drugi kongres pisarzy katolickich, zorganizowany przez Stowarzyszenie Literackie Tamul, mające siedzibę w Tuticorin. Tematem kongresu było apostolstwo myśli katolickiej i rozważenie dróg i sposobów jej szerzenia przez studium różnych systemów filozoficznych w Indiach.

Nowe tłumaczenie Biblii. Pismo Św. będzie przetłumaczone na język telegu, jeden z głównych języków drawidiańskich w Indiach centralnych.

Ojciec i trzech synów księżmi. Dawniejszy dyrektor holenderskiego towarzystwa asekuracyjnego w Nimega, M. G. Bakker, zostanie wkrótce w Rzymie wyświęcony na księdza. Trzech jego synów spośród sześciu studiuje teologię, należąc do jezuitów.

JÓZEF PŁOSKI

ARCYBISKUP ANTONI J. NOWOWIEJSKI

(w 12-lecie śmierci)

Biskupstwo płockie jest tak stare niemal, jak dawno rozkrzewiono wiarę chrześcijańską na ziemi polskiej. Spornym jest, w którym roku zostało założone; najprawdopodobniej za Kazimierza Odnowiciela, po buncie Masława. W każdym razie istniało na pewno za Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, którzy obaj, spędziwszy znaczną część swego życia w Płocku, w podziemiu tamtejszej katedry złożyli swe kości na wieczny spoczynek. Biskupi więc płoccy byli nie tylko pasterzami Mazowsza, ale i strażnikami grobów królewskich. W długim szeregu biskupów znajdowało się wielu przedstawicieli znakomitych rodów. Aleksander z Malonne (zm. w 1156 r.) był bratem znanego arcybiskupa wrocławskiego, Henryk (zm. 1392 r.) i Kazimierz (zm. w 1480 r.) książętami mazowieckimi, Jan Lubrański, Erazm Ciołek (Sulimczyk, zm. w 1522 r.) i Andrzej Krzycki, późniejszy prymas, byli wybitnymi humanistami, Samuel Maciejowski postąpił na stolicę krakowską, Andrzej Noskowski, królewicz Karol Ferdynand, Andrzej Załuski, przeniesiony na Warmię i brat królewski, Michał Poniatowski, każdy z nich dodał blasku katedrze i biskupstwu płockiemu. Pamięć o nich najlepiej zachowały dzieła i pomniki.

Antoni Julian Nowowiejski był 81 biskupem płockim. Nie pochodził ze znakomitego rodu. Był synem nadleśniczego i urodził się w 1858 roku w Lubieniu, w Sandomierskim, jako syn Antoniego i Marianny z Sutkowskich. Będąc 15-letnim chłopcem przybył z rodzicami do Płocka i w następnym roku wstąpił do miejscowego seminarium duchownego, a potem stopień magistra teologii uzyskał w Akademii Duchownej w Petersburgu. Wyświęcony w Płocku w 1881 roku, ksiądz Antoni Julian Nowowiejski otrzymał kolejno szereg godności diecezjalnych; w 1904 roku, już jako prałat domowy Jego Świątobliwości, administrował w czasie wakowania biskupstwa diecezją. Błogosławiony papież Pius X powołał go w 1908 roku na biskupstwo płockie, następny papież, Benedykt XV, obdarzył tytułem asystenta tronu papieskiego i hrabiego rzymskiego, a wreszcie Pius XI, którego bp. Nowowiejski podejmował jako nuncjusza w Płocku w 1919 roku, nadał mu godność arcybiskupa silieńskiego. (1930 r.)

Arcybiskup Nowowiejski napisał szereg prac z zakresu liturgiki, której był wybitnym znawcą. Jego „Wykład liturgii Kościoła katolickiego" jest dziełem wybitnym i niezmiernie cennym. Drugim pomnikiem pisanym, jaki pozostawił po sobie, jest niezwykle sumiennie opracowana „Monografia historyczna Płocka", która doczekała się dwóch nakładów. Jest to dzieło benedyktyńskiej iście pracowitości i kopalnia wiadomości o dziejach biskupstwa płockiego.

Arcybiskup Nowowiejski był dobrym pisarzem o żywym stylu i bogatym języku Pozostawił po sobie szereg wartościowych listów pasterskich. Był natomiast słabszym mówcą.

Dzięki licznym podróżom, które odbywał w różnych okresach życia, znał świat i ludzi. Od pierwszej swej podróży z arcybiskupem Cieplakiem, do ostatniego swego pobytu w Rzymie w 1938 roku przywoził do Płocka wiele spostrzeżeń i wykorzystywał je dla dobra Kościoła i dusz ludzkich. W pięćdziesięciolecie swego kapłaństwa odwiedził też Ziemię Świętą, by u grobu Zbawiciela szukać nowej siły na dalsze trudy pasterzowania. Jakby przeczuwał, że i jego nie ominie męczeństwo.

Okres rządów arcybiskupa Nowowiejskiego przypada na ciężkie czasy. Pierwsza wojna światowa sprowadziła wielomiesięczne działania wojenne, rozgrywające się na Mazowszu, które przyniosły zniszczenie wielu miast i wsi, a wiele starych kościołów zamieniły w ruinę. Pasterz płocki zabiegał o pomoc ofiarom wojny i ratował, co się ratować dało. Między innymi obronił katedrę płocką od groźby zdarcia przez Niemców miedzianego dachu — argumentem o konieczności uszanowania świątyni z grobami królewskimi. Okres powojenny przyniósł rewolucyjny ferment, który sięgał pod okna biskupiej siedziby. Nieustraszony biskup płocki nie opuścił jednak diecezji nawet w 1920 roku, gdy najazd bolszewicki groził mu śmiercią lub co najmniej więzieniem. Pozostał u siebie, gdy w dwudziestoczterogodzinnej walce, w której brała udział miejscowa ludność cywilna, zdobywając dla miasta odznaczenie Krzyżem Walecznych, hordy bolszewickie dotarły do murów jego domostwa.

Źródłem wielu zmartwień arcybiskupa Nowowiejskiego była istniejąca w Płocku siedziba drobnej liczebnie, ale niezwykle szkodliwej sekty mariawitów. Przywódcy tej sekty, bojkotowani całkowicie przez całe społeczeństwo płockie za poparcie, jakiego kolejno doznawali od wszystkich wrogów Polski — co szczegółowo udowodniono na jednym z procesów Kowalskiego — nie ustawali w napaściach, niezwykle ordynarnych, na biskupa płockiego i Kościół katolicki.

Aby duchowieństwo przygotować do współczesnych zadań duszpasterskich, arcybiskup Nowowiejski wprowadzał nowe przedmioty do wykładów w Seminarium Duchownym, które miało poziom seminarium wyższego i wydało szereg doskonałych kapłanów. Sam nadzorował studia, trwające lat sześć, wymagał od innych, jak i od siebie, wytężonej pracy. Za jego rządów z diecezji płockiej wyszło czterech biskupów: bp. Szelążek, bp. Walczykiewicz, bp. Wetmański i bp. Kaczmarek.

Pomimo podeszłego wieku arcybiskup Nowowiejski dotrzymywał kroku nowym czasom i nie wahał się przed zastosowaniem nowych metod pracy katolickiej. Od pierwszych lat niepodległości urządzał zjazdy katolickie, w 1930 roku powołał do życia diecezjalny Instytut Akcji Katolickiej, w 1937 roku Wyższy Instytut Kultury Religijnej, wreszcie w 1938 roku katolicki uniwersytet ludowy w Proboszczewicach. Akcja Katolicka przeorała ziemię mazowiecką i w ciągu zaledwie dziesięciu lat jej istnienia doczekała się widocznych rezultatów. Liczne kursy, zjazdy, pielgrzymki i manifestacje znaczyły jej drogę. We wszystkim tym arcybiskup Nowowiejski był niezmordowanym organizatorem, inicjatorem i przewodnikiem.



Rozwojowi Akcji towarzyszył rozwój prasy katolickiej. Oprócz „Miesięcznika Pasterskiego Płockiego" wychodził dziennik katolicki „Głos Mazowiecki" i tygodnik „Hasło Katolickie", docierając ze słowem katolickim do najodleglejszych parafii.

Przedmiotem stałej pracy arcybiskupa było wychowanie młodzieży w duchu katolickim i polskim. Rozwojem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży żywo się interesował i nie mógł zrozumieć komu zależy, aby rozrost jego powstrzymać.

Wobec zjawisk politycznych pasterz płocki trzymał się ściśle zasad katolickich. Uważał za korzystne współdziałanie czynników kościelnych i państwowych w wytwarzaniu harmonijnej współpracy, ale unikał jednostronnego angażowania się i gdy trzeba było, umiał przeciwstawić się naciskom, jak to miało miejsce wobec znanego z nietaktów starosty. Do pracy katolickiej werbował ludzi według ich wartości i bez względu na to, czy są „dobrze widziani" przez władze. Cieszył się też arcybiskup wielkim szacunkiem całej diecezji, a jak wykazały jego uroczystości jubileuszowe, na które przybył przedstawiciel Ojca Świętego, prymas i szereg dostojników, szanowany był w całym kraju. Prezydent nadał arcybiskupowi Nowowiejskiemu order Polonia Restituta, uniwersytet warszawski — doktorat honorowy, Płock — obywatelstwo honorowe, a Płockie Towarzystwo Naukowe, istniejące od 150 lat, dyplom honorowy.

Wszystkie te oznaki czci cieszyły starego arcybiskupa nie dlatego, by ich pożądał dla siebie, był bowiem prosty i bezpośredni, ale widział w nich uhonorowanie jego godności biskupiej, którą tak bardzo cenił. Motywem jego radości było: non nobis, Domine, sed nomini Tuo da gloriam. Wiedział, jak wielką odpowiedzialność ponosi jako biskup i oznaki ludzkiego uznania przyjmował jako dowód, że odpowiedzialności tej umiał sprostać.

Swą dbałość o chwałę Kościoła wyrażał między innymi w przepychu liturgicznym, jeśli się tak można wyrazić, jaki podczas uroczystości stosował. Msze pontyfikalne, celebrowane przez sędziwego arcybiskupa w złocistej dalmatyce królewicza Karola Ferdynanda, w licznej asyście, kierowanej niezwykle sprawnie bystrym okiem ks. prałata Michalaka, w otoczeniu całej kapituły, złożonej ze starych kapłanów diecezji, z bp. sufraganem ks. Leonem Wetmańskim na czele, pozostawały długo niezapomnianym obrazem w pamięci. W oddawaniu czci Bożej arcybiskup płocki był niezmordowanym. Mimo swoich osiemdziesięciu lat zawsze sam prowadził procesję Bożego Ciała na blisko dwukilometrowej trasie po mieście, ciężko dysząc pod ciężarem szat liturgicznych w piekącym słońcu czerwcowym, podtrzymywany kolejno przez zmieniających się przedstawicieli władz i społeczeństwa. Niestrudzonym był też podczas kongresów i zjazdów. Nie opuścił żadnej okazji, by się czegoś nowego dowiedzieć dla dobra Kościoła.

W stosunku do ludzi był wymagający, choć ojcowsko dobrotliwy. Diecezją administrował energicznie i żądał od duchowieństwa wytężonej pracy, której sam dawał najlepszy przykład.

Przez długie 31 lat arcybiskup Antoni Julian Nowowiejski był niewątpliwie pierwszym obywatelem i gospodarzem Mazowsza płockiego. Aż przyszła druga wojna światowa. W piękną katedrę płocką trafiła bomba niemiecka, niszcząc kaplicę Zygmunta i wyrządzając ogromne szkody w całej świątyni. Dla starego arcybiskupa był to pierwszy cios. Wkrótce przyszły aresztowania księży i świeckich jego współpracowników, których wielu zapłaciło życiem za swe przekonania. Konfiskata muzeów i zniszczenie bibliotek, zajęcie katedry na garaże, gmachu Akcji Katolickiej na Deutsches Haus, wywożenie i więzienie tysięcy ludzi — wszystko to przejmowało arcybiskupa niezmiernym bólem. Wreszcie w lutym 1940 roku wysiedlono jego samego, biskupa sufragana i kapelana, ks. prałata Ludwika Wilkońskiego, do wsi Słupna, gdzie ich internowano w szkole. Przyjaciel i wieloletni towarzysz arcybiskupa, ks. Wilkoński, tu go opuścił, przenosząc się do lepszego świata. Staruszek pozostał bardzo osamotniony, bo Niemcy pilnowali, by kontakty ze światem zewnętrznym ograniczyć. O losie diecezji i własnym arcybiskup starał się zawiadomić Ojca świętego, który też podjął zaraz kroki zapobiegawcze przez nuncjaturę w Berlinie. Ostatnim aktem władzy biskupiej niezapomnianego naszego arcypasterza było imprimatur datowane w 1941 roku „Slupno-Plociae", udzielone wydanemu w Ratyzbonie mszalikowi Mszy polskich. Ta malutka książeczka, bardzo starannie wydana przez katolicką firmę w Niemczech, a zawierająca w dobie największego prześladowania Polski Mszę św. ku czci Królowej Polski, była ostatnią pociechą ziemską arcybiskupa.

Nocą na 7 marca 1941 roku wywiozło Gestapo sędziwego starca wraz z towarzyszącym mu bp. Wetmańskim i ks. Zaleskim do Płocka, gdzie wraz z innymi został uwięziony w ratuszu. Nazajutrz, zmęczonego i głodnego, wsadzono na samochód ciężarowy, do którego również spędzono wszystkich niemal starszych kapłanów i wywieziono do odległego o blisko 90 kilometrów obozu koncentracyjnego w Działdowie. Arcybiskup Nowowiejski, liczący lat 83, opuszczał Płock, w którym przez 33 lata tyle dobrego uczynił, na zawsze. Biskup Wetmański, stojąc w tyle samochodu, błogosławił krzyżem każdego napotkanego przechodnia. Mimo terroru dało się zauważyć niezwykłe podniecenie w mieście, nawet między miejscowymi Niemcami.

Trzymiesięczny pobyt w Działdowie, to historia okrutnych zbrodni. Z księży uwięzionych z arcybiskupem żaden nie uszedł z życiem. Zaraz w pierwszych dniach zmarli śmiercią głodową: niezwykle zacny starzec ks. prałat Piotr Dmochowski i rektor Seminarium ks. Klimkiewicz. Po nich podążył do Boga ks. infułat Adolf Modzelewski.

Stłoczeni w ciasnej izbie księża i biskupi byli głodzeni i bici brutalnie każdego dnia. Chociaż byli ściśle izolowani, pewne wiadomości o nich przenikały do diecezji, budząc zrozumiałą zgrozę. Ojciec św. polecił interweniować nuncjuszowi Orsenigo; rząd niemiecki zastosował najbardziej cyniczną metodę, oświadczając spokojnie, że arcybiskup Nowowiejski jest już uwolniony i znajduje się w Warszawie. Zanim kłamstwo zostało wykryte, arcybiskup już nie żył. Wszelkie sugestie, jakoby Stolica Apostolska pozostała obojętna na cierpienia pasterza płockiego, są bądź oszczerstwem, bądź wytworem chorobliwej nienawiści do papiestwa.

Za przykładem Boskiego Mistrza, będącego w ucisku, arcybiskup Nowowiejski szukał pokrzepienia w modlitwie i mimo braku sił odmawiał z księżmi Drogę Krzyżową i różaniec. Swoją drogę krzyżową znosił z godnością. Cierpiał więcej patrząc na męczeństwo innych, niż nad własnym losem. Nie uległ, gdy gestapowcy katowaniem chcieli go zmusić do plucia na krzyż. Wolał śmierć, niż choćby pozorne zaparcie się Chrystusa. Spotkanych przypadkowo innych współwięźniów błogosławił. Zmarł z wycieńczenia i bicia 20 czerwca 1941 roku, jak dobry pasterz dając życie swe za owce swoje.

Pozostała po nim pamięć jako o biskupie-męczenniku. Gdy tylko Niemcy odeszli, ludność rozpoczęła poszukiwania szczątków jego i biskupa sufragana Leona Wetmańskiego, który zmarł w październiku tegoż 1941 roku. Do dziś nie udało się zwłok odnaleźć. Grobowiec, przygotowany w podziemiach katedry płockiej dla jednego z najwybitniejszych pasterzy diecezji, pozostanie pusty. W pamięci swych diecezjan tych wszystkich, którzy go znali, arcybiskup Antoni Julian Nowowiejski pozostanie wielkim biskupem, niezłomnym pasterzem, gorącym patriotą, przykładem do naśladowania dla następnych pokoleń kapłanów i wiernych.

W dwunastą rocznicę
męczeństwa — w hołdzie

Józef Płoski

AMBASADOR PAPIESKI
NA KORONACJI ELŻBIETY II

Na uroczystości koronacyjne Królowej Elżbiety II Papież Pius XII mianował swym ambasadorem nadzwyczajnym J. E. ks. arcybiskupa Fernando Cento, nuncjusza w Belgii.

Ambasador papieski przybył w sobotę 30 maja do Dowru, gdzie został powitany przez dowódcę skrzydła R. Grant-Ferrisa i pułkownika Guy Elwesa, przydzielonych mu przez lorda kanclerza, jako świta angielska, jako też przez wikariusza generalnego diecezji Southwark, na której terytorium leży Dower. Na dworcu Victoria w Londynie witał ambasadora papieskiego Delegat Apostolski, arcybiskup Godfrey i przedstawił go małżonkowi Królowej, księciu Edynburga, któremu z kolei ambasador papieski przedstawił członków swej świty. Wieczorem tegoż dnia arcybiskup Cento i arcybiskup Godfrey byli na przyjęciu w National Gallery, gdzie byli powitani przez księcia i księżnę Gloucester. Przyjęcie to urządzone było przez rząd angielski na cześć delegacyj przybyłych ze wszystkich stron świata na koronację. Następnego dnia, w niedzielę, arcybiskup Cento złożył wizytę kardynałowi Griffinowi, po czym wraz z nim i z delegatem apostolskim wziął udział w posiłku południowym u księcia Norfolk, któremu wręczył fotografię Papieża z autografem. Książę Norfolk dał wyraz swemu zaszczytowi przyjmowania, zgodnie z tradycją swego rodu, reprezentanta Ojca św. i przypomniał, że miał zaszczyt brać udział w oficjalnej misji angielskiej na uroczystość koronacji obecnego Papieża. Wieczorem ambasador papieski był wraz z Delegatem Apostolskim na przyjęciu u lorda Salisbury w Hatfield House, gdzie został przedstawiony królowej matce Elżbiecie.

W przeddzień koronacji ambasador papieski złożył wizytę lordowi kanclerzowi, któremu wręczył własnoręczny list Papieża Piusa XII do Jej Królewskiej Mości Elżbiety II, a następnie w ministerstwie spraw zagranicznych. Tegoż dnia podejmowany był przez kardynała Griffina. Wieczorem wysłuchał Mszy św. celebrowanej w katedrze westminsterskiej przez kardynała Griffina w intencji uproszenia łask dla Królowej.

W dzień koronacji arcybiskup Cento udał się na koronację, ale wraz ze świtą pozostał w czasie samej uroczystości poza opactwem westminsterskim, by wziąć następnie udział w orszaku koronacyjnym w jego powrotnej drodze przez ulice Londynu do pałacu Buckingham.

W ciągu dni następnych ambasador Ojca św. był obecny na przyjęciach w ambasadach belgijskiej i włoskiej, zwiedzał Tower of London i inne zabytki stolicy i oglądał film z uroczystości koronacyjnych. We czwartek wieczorem, 4 czerwca, wziął udział w oficjalnym bankiecie w pałacu Buckingham, siedząc przy stole Królowej. Królowa oświadczyła reprezentantowi papieskiemu, że wysoko sobie ceni list Papieża, wystosowany do niej z racji uroczystości koronacyjnych. Następnego dnia, w piątek, w czasie ponownego przyjęcia w pałacu królewskim reprezentant Ojca św. był wyróżniony spośród innych delegacyj przedstawionych Królowej, która, jak stwierdza „Osservatore Romano", rozmawiała z nim z wielką serdecznością (con molta cordialità).

(Dokończenie na 6 łamie)

KONGRES KATOLIKÓW DUŃSKICH

Po reformacji, która zerwała łączność Danii z Rzymem, słupami milowymi na drodze powrotu stały się: konstytucja z r. 1849 zapewniająca katolikom wolność wyznania, obecny kongres katolików duńskich i wskrzeszenie hierarchii przez podniesienie w kwietniu bieżącego roku wikariatu apostolskiego Danii do stopnia i godności biskupstwa w Kopenhadze.

Na kongres, który odbył się w Kopenhadze w dniach 22 do 24 maja, przybyło tysiące katolików duńskich ze wszystkich stron kraju. Znaczenie kongresu polega na tym, że wywoła on bez wątpienia silne echo opinii publicznej duńskiej i złączy katolików duńskich w poczuciu siły na dalszy podbój dusz dla Kościoła katolickiego.

Pierwszy po reformacji biskup, Teodor Suhr, benedyktyn, w słowie powitalnym zwrócił się do kardynała Józefa Fringsa, arcybiskupa Kolonii: „Jest radością i honorem mieć tutaj na wielkie uroczystości dostojnego Księcia tego Kościoła, który nie zna granic narodowych" — i do arcybiskupa Józefa Gawliny: „ Krew twoich męczenników będzie gwarancją najpiękniejszej przyszłości chrześcijańskiej twojego kraju!"

Do zebranych na Mszy pontyfikalnej, odprawionej przez przewodniczącego kongresowi kardynała Fringsa, przemówił w języku niemieckim przez radio Ojciec św. Zaznaczył on swą radość, że po raz pierwszy następca św. Piotra przemawia ze swej siedziby w Rzymie do Duńczyków w ich kraju. Oprócz nich pozdrawia Papież także gości przybyłych na kongres z innych krajów, zwłaszcza z Norwegii, Szwecji i Finlandii, a także katolików skandynawskich, którzy nie mogąc przybyć złączeni są z kongresem duchowo. „Niech wszyscy oni naszym słowem i waszą uroczystością — mówił Papież — będą wzmocnieni w przeświadczeniu, że nie są sami i nie powinni czuć się osamotnieni, że co więcej, są oni włączeni jako pełnowartościowe członki w wielki, żywy organizm, w miłosną wspólnotę katolickiego, obejmującego świat, Kościoła."

Zebranym złożył Papież podwójne życzenia. Po pierwsze, żywego przeświadczenia o ich posłannictwie wiary: pierwsi chrześcijanie stali, podobnie jak oni, wobec większości niekatolickiej, ale byli przekonani o Boskiej sile wiary i doprowadzili ją do zwycięstwa, aczkolwiek wśród ciężkich zmagań i krwawych ofiar. Po drugie, życzy Papież zebranym silnej woli do czynu chrześcijańskiego, do życia całkowicie z katolickiej wiary; i pod tym względem także przykład pierwszych chrześcijan nie pozwoli spocząć: „dla nich było bez porównania jeszcze ciężej, po ludzku powiedziawszy beznadziejnie, przedrzeć się przez panujący prąd. A jednak przedarli się".

AMBASADOR PAPIESKI

(Dokończenie)

Po południu tegoż dnia odbyło się przyjęcie w Claridges Hotel, urządzone przez Pontifical Court Club, na którym reprezentantowi papieskiemu przedstawiono ponad 70 członków hierarchii kościelnej, duchowieństwa i osób świeckich, wśród nich przedstawiciela ministerstwa spraw zagranicznych. W czasie zebrania przemawiał arcybiskup Godfrey, który powiedział m. in.: „Częste wspominanie korony św. Edwarda Wyznawcy w związku z ceremonią koronacji przypomina nam władców Anglii i ich łączność ze Stolicą Apostolską, a sama nazwa opactwa św. Piotra przenosi nasze umysły od razu do bazyliki Księcia Apostołów w Rzymie... Prosimy Waszą Ekscelencję, Ambasadora Papieskiego, o zapewnienie Ojca świętego, że wszyscy jesteśmy z nim złączeni w wierności i synowskim uczuciu i że modlimy się, ażeby jego kierownictwo Powszechnym Kościołem mogło być coraz bardziej pomyślne i cieszyło się zawsze błogosławieństwem coraz obfitszym."

Po obiedzie wydanym przez premiera Churchilla w Lancaster House nastąpiło pożegnalne przyjęcie w pałacu Buckingham.

W sobotę Delegat Apostolski wydał w delegaturze przyjęcie dla reprezentanta Głowy Kościoła katolickiego, na którym było wiele osób duchownych i świeckich, wśród nich wielu członków korpusu dyplomatycznego. W niedzielę odbyło się garden party w Blenheim, w poniedziałek zwiedził arcybiskup Cento Oxford, a zwłaszcza kolegium, w którym uczył kardynał Newman; udał się także do Littlemore, gdzie Newman złożył wyznanie wiary wobec pasjonisty Dominika od Matki Bożej. W zamienionym na oratorium pokoju, w którym żył wielki konwertyta, arcybiskup Cento modlił się gorąco do Boga o łaskę powrotu dla będących poza prawdziwym Kościołem do łączności ze Stolicą Apostolską.

Wyjeżdżając z Anglii, we wtorek, 9 czerwca, ambasador Ojca św. wysłał z Dowru do Królowej Elżbiety telegram z wyrazami należnego homagium. Przez katolicką zaś prasę angielską zwrócił się do katolików angielskich z serdecznym pismem, w którym dał wyraz swego uznania dla ich silnej wiary i synowskiego przywiązania do Wikariusza Chrystusowego, jako też zaapelował, ażeby katolicy byli wzorowymi obywatelami i katolikami z wiary i czynu zawsze wiernymi poddanymi — wej i silnie zjednoczeni ze Stolicą Apostolską i by ich życie było najlepszym świadectwem dla religii, którą wyznawać jest ich dumą i szczęściem.

W. F.

TADEUSZ FELSZTYN

NIĆ ARIADNY

(„Dwa światy" Michała Pawlikowskiego)

Jest wiele sposobów pisania recenzji o książce. Najtańsza, nie wymagająca żadnego wysiłku od recenzenta, nawet czytania recenzowanej książki, jest bardzo prosta. Autor jest moim przeciwnikiem politycznym. Oczywiście więc książkę jego należy osmarować. Bierze się więc spis rozdziałów, indeks, przytacza się kilka na chybił trafił wyrwanych cytatów, możliwie niepełnych, aby ośmieszyć autora, dodaje się na przyprawę kilka wykrzykników, trochę mocnych określeń — i potrawa gotowa. A jeśli do tego autor pisze rzeczy, z którymi się nie zgadzam, to cytuje się je z odpowiednią porcją zapytajników i wykrzykników, dodaje się szereg nazw pogardliwych, jak „sanator", „endek", „liberał", „faszysta", zależnie od tego, co komu smakuje... i cel zamierzony został osiągnięty.

Ta metoda pisania recenzji doszła do szczytu za żelazną kurtyną. Jest tam ona tak już ograna i tak do obrzydzenia monotonna, iż wydawać by się mogło, że — choćby siłą reakcji — nie znajdzie się ona na łamach pism, głoszących swą przynależność do wolnego świata. A jednak! Klasycznym bowiem przykładem takiej recenzji może być omówienie książki Michała Pawlikowskiego „Dwa światy" (Londyn, 1952) na łamach paryskiej „Kultury", której tytuł choćby powinien był skłonić redakcję do nie umieszczania podobnych rzeczy, stojących stanowczo poniżej poziomu każdego szanującego się pisma.

Przyznaję szczerze, że miałbym wiele powodów osobistych, aby — wychodząc z wymienionych powyżej założeń — potraktować omawianą książkę bardzo niechętnie. Z autorem jej różnię się stanowczo w wielu moich poglądach na zagadnienia polityczne, tak chwili obecnej, jak zwłaszcza czasów minionych. Z niektórymi ustępami jego książki stanowczo się nie zgadzam, niektóre zaś nawet — jak te n. p., gdzie autor pisze o Piłsudskim — wywołują u mnie silną reakcję oburzenia.

Sądzę jednak, że tego rodzaju podejście do recenzji jest niesłuszne w stosunku do autora, wysoce krzywdzące czytelnika, nie mówiąc już o tym, że jest dowodem braku szacunku recenzenta do samego siebie.

To bowiem, czego czytelnik wymaga od recenzenta, to omówienia, jaka jest myśl przewodnia książki, co w niej autor powiedział nowego, jak przedstawia się dorobek autora na tle literatury danego przedmiotu.

Jeśli tego rodzaju podejście charakteryzować musi każdą recenzję, która chce być poważną, to tym bardziej obowiązuje ona w wypadku, gdy autor jest pisarzem o dużym już dorobku w piśmiennictwie polskim, myślicielem głębokim, oryginalnym, samodzielnym.

Pod wpływem pozytywizmu, a zwłaszcza marksowskiego materializmu historycznego, myśl historyczna poczęła coraz uporczywiej poszukiwać materialnego podłoża dziejów. Mimo wszelkich bezdroży, na jakie często wiedzie przesada w tym kierunku, nie można zaprzeczyć, że przyniósł on i wiele korzyści, wykrywając elementy obiektywne w pozornie niezwiązanym toku dziejów. W swej jednostronności jednak zwolennicy tego kierunku zapominali — a często wręcz negowali — fakt, że człowiek, to nie tylko ciało, ale i dusza. Tym samym zatracili oni to, co w dziejach ludzkości jest przecież najważniejsze, idee przewodnie poszczególnych epok, owe nurty odgłębne, które wywierały znacznie większy wpływ na przebieg wypadków, niż wszelkie inne czynniki, grające w ludzkiej świadomości, czy też podświadomości. Nawet przecież i dziś, gdy zmaterializowanie świata osiągnęło nigdy dotąd nie spotykane wyżyny, widzimy, jak często decyzjami narodów rządzą przesłanki ideologiczne, często nawet diametralnie sprzeczne z materialnym interesem danego narodu.

Nowsza historiozofia poczęła już wyzwalać się z oków materialistycznych i, nieśmiało z początku, poszukiwać pod powierzchnią prądów dziejów elementów duchowych, kierujących te prądy, kształtujących myśl ludzką, formujących jej przesłanki ideowe, rzeźbiących kulturę człowieka. Klasyczna już dziś praca Toynbee'ego widzi w dziejach ludzkości współdziałanie czynnika duchowego z czynnikiem materialnym. Czynnik materialny, to zmiany klimatyczne, działanie innych grup ludzkich itp., a więc dane obiektywne, stanowiące wyzwanie, rzucone pewnej grupie ludzkiej. Od elementu duchowego, a więc od sposobu, jak dana grupa ustosunkowuje się do danego wyzwania, od jej odpowiedzi zależy, czy przyszłość przyniesie grupie tej zagładę, czy też z owego splotu wyzwania i odpowiedzi zrobi się nowa kultura, zdolna do samodzielnego życia przez wiele wieków.

Mimo jednak całej swej błyskotliwości i niezmiernie ciekawych i oryginalnych syntez, siedmiotomowe dzieło Toynbee'go cierpi na jedną wadę zasadniczą. Już bowiem sam fakt, że autor wylicza ponad dwadzieścia rozmaitych kultur, świadczy o tym, że w syntezie swej zatrzymał się on w pół drogi, a tym samym nie zdołał wykryć stałych czynników w owej wielości, jakichś prostych atomów, których dopiero współgra tworzy pozorną wielorodność.

Książka Pawlikowskiego jest pierwszą próbą znalezienia tych pierwiastków podstawowych, owej nici Ariadny, która dozwoli odnaleźć drogę w labiryncie dziejów ludzkich. Zgodnie ze swą zasadniczą postawą ideologiczną widzi Pawlikowski te pierwiastki w postawie życiowej człowieka, w jego zasadniczym ustosunkowaniu się do samego siebie i do innych ludzi, a więc w jego przesłankach duchowych, od których zależy wszystko inne. Mimo wielorakich odcieni owej postawy zasadniczej, mimo przeróżnych form, jakie ona przybiera, daje się ona jednak zawsze, wedle Pawlikowskiego, sprowadzić do jednej z dwu kategorii zasadniczych, dwu niejako sposobów patrzenia na świat. Jedna, to stadność (którą autor nazywa „indywidualizmem", co jest źródłem wielu nieporozumień u mniej uważnych czytelników), a więc uznanie zespołu za cel, jednostki zaś za środek jedynie temu celowi podporządkowany, za mierzwę, użyteczną o tyle tylko, a ile służy ona celom zespołu. Druga, przeciwstawna, to personalizm, którego celem jest pełny rozwój osobowości ludzkiej, najwyższy rozkwit jej życia duchowego. Zespół natomiast jest jedynie środkiem sharmonizowania tego rozwoju u ludzi w taki sposób, aby rozwój osobowości jednego był pomocny rozwojowi osobowości jego bliźnich.

Tę zasadniczą metodę poszukiwania w kulturze człowieka owych dwu elementów podstawowych przenosi Pawlikowski nawet i na prehistorię. Na pierwszy rzut oka wydawać się to musi przedsięwzięciem beznadziejnym. To bowiem, co pozostało z czasów, gdy brak było jeszcze pisma, jako środka przekazywania informacji, to jedynie obiekty materialne, naturalne, jak kości ludzi i zwierząt, czy też sztuczne, jak kamienie, skorupki, czy groby. Nie dziw więc, że określenia archeologów roją się od terminów cmentarnych, czy też ceramicznych, jak „kultura popielic twarzowych", lub „ceramiki wstęgowej".

Pawlikowski usiłuje w skorupki te tchnąć ducha i z pozostawionych śladów wnioskować o duchowym życiu ich użytkowników. Jest to niewątpliwie zadanie niezmiernie trudne i wymagające dużej intuicji oraz wnikliwej analizy, opartej o analogie z tym, co wiemy z okresów historycznych. Tym niemniej wywody autora w tym zakresie wydają się wysoce przekonywujące. A nawet, gdyby te czy też inne jego wnioski miały w przyszłości okazać się mylne, to jednak sama zasada, poszukiwanie, jakim był w danej epoce „pod męką ciał żyjący duch", jest wkładem do nauki, którego żaden z przyszłych badaczy nie będzie mógł pominąć.

Ta zasadnicza myśl przewodnia wiedzie autora pewnym krokiem poprzez labirynt pozornie różnorodnych i związku ze sobą nie mających zjawisk. W niej więc znajduje on odpowiedź na wielu badaczy dręczące pytanie, czym jest naród, owo tajemnicze zjawisko, jakże trudne do sprowadzenia do wspólnego mianownika, skoro w każdym miejscu i w każdym czasie znajduje ono inny wyraz. Rozwiązanie Pawlikowskiego również może wielu nie zadowoli. Zwłaszcza zwolennicy ujęć materialistycznych, czy też socjologii, opartej na naukach przyrodniczych, zarzucą mu zapewne niedostateczne uwzględnienie takich, czy innych przesłanek natury materialnej. Osobiście jednak wydaje mi się, że podkreślenie świadomości i woli, jako elementów podstawowych narodu, wytrzyma wszelką krytykę i skieruje dalsze badania ku temu, co w każdej działalności ludzkiej jest najważniejsze, ku duchowym jej przejawom i źródłom.

bardzo blisko nas dotyczącemu zjawi-

Najwięcej uwagi poświęca autor niewątpliwie bardzo blisko nas dotyczącemu zjawisku kultury łacińskiej, której przecież i my jesteśmy cząstką, owego przedziwnego stopu filozofii greckiej, prawa rzymskiego i nauki Chrystusowej, który od blisko już 2000 lat odciska dominujące piętno na życiu całej ludzkości. Najbardziej nawet powierzchownego obserwatora uderzyć musi fakt, że choć zasadniczy składnik tej kultury, nauka Chrystusowa, zrodził się w narodzie semickim, to jednak głównymi nosicielami tej Nauki w najczystszej jej formie stały się narody zupełnie innego kręgu cywilizacyjnego, narody indoeuropejskie.

Często w literaturze powracająca teza o domieszce, a nawet dominancie indoeuropejskiej u starożytnych Żydów, rzekomo na skutek takiego, czy innego związku z Hetytami, nie znalazła dotąd potwierdzenia. Co więcej, ostatnie wyniki badań nad Hetytami, które nie wykazały żadnego związku między obficie już dziś odkrytymi zabytkami tego narodu, a plemionami, które mieszkały w Palestynie i nosiły nazwę Hetytów, czynią tezę tę jeszcze mniej prawdopodobną.

Mimo jednak odmienności pochodzenia, Nowa Wiara, jak płomień wśród suchego drzewa, rozchodzi się wśród narodów indoeuropejskich, tych zwłaszcza, które żyły w zasięgu wpływów kulturalnych Rzymu i przybiera formy jakżeż zgodne z jej wewnętrzną treścią. Wszędzie indziej, zwłaszcza w krajach, których kultura przepojona była elementem syryjskim (wedle słownictwa Toynbee'go), musi ona nieustannie walczyć z coraz to nowymi herezjami. A jeśli nawet, jak to się dzieje w prawosławiu, mistyczna i naprzyrodzona część wiary po wielu wiekach wrasta w duchową glebę społeczeństwa, to i wtedy formy jej i przyrodzone do wiary podejście przybierają typowo bizantyńską postać cezaro-papizmu, a więc podporządkowania wiary władcy świeckiemu, wręcz sprzeczną z duchem wiary, tak jednak właściwą tradycjom kulturalnym tego środowiska, które stworzyło kulturę bizantyńską.

Co więcej, nawet w samym narodzie, który wiarę tę przyniósł ludzkości w dani, Nowa Wiara nie tylko, że nie przynosi odrodzenia duchowego lecz wytwarza, a raczej pogłębia od dawna już kiełkujący, zasadniczy rozłam. Rozłam ten obserwujemy przecież już w księgach Starego Testamentu, gdzie Myśl Boża nieustanną staczać musi walkę z tym narodem „o twardych karkach i świerzbiących uszach", jakże łatwo ulegającym pokusom otaczającej go dokoła kultury syryjskiej. Toteż, jeśli fakty o znacznie mniejszym znaczeniu historycznym mogą całkowicie przekształcić psychikę narodu (wystarczy n. p. porównać bitność Czechów przed bitwą pod Białogórą, a obecnie, czy też wojowniczość Francuzów przed bliskim śmiertelnemu upustem krwi wojen napoleońskich i roku 1914, a zupełnym jej brakiem w 1940 roku), to czyż dziwić się można, że nauka Zbawiciela głęboką przepaścią oddzieliła tych, którzy „nie z krwi ani z woli męża, lecz z Boga się narodzili", od tych, którzy pozostali w „starych naczyniach", przesiąkając duchem otoczenia i jego wręcz przeciwstawnej chrystianizmowi cywilizacji. Przepowiedział to zresztą Chrystus w słowach „będzie od was odjęte królestwo Boże i będzie dane narodowi, czyniącemu owoce jego" (św. Mateusz 21, 43). Drogi obu odłamów narodu żydowskiego rozchodziły się coraz bardziej i — jakgdyby na skutek jakiegoś strasznego przekleństwa — synowie tych, co wołali „ukrzyżuj!", stali się nosicielami kultury wręcz sprzecznej z tym, co przecież było misją dziejową ich narodu.

Jeśli odpowiedzi na ów przedziwny paradoks historii, że nie synowie narodu w tym celu przecież przez Boga wybranego, lecz właśnie narodów najzupełniej mu obcych, stali się nosicielami nauki Chrystusowej, szukać zechcemy na gruncie przyrodzonym, to odpowiedź, jaką na nie daje Pawlikowski, mocno przemawia do przekonania. Jest nią swoiste prawo współbrzmienia psychicznego, dzięki któremu człowiek najłatwiej przyjmuje te nowości, których ton jest bliski temu, na jaki — świadomie, czy też najczęściej nieświadomie — dusza jego jest nastrojona. Toteż tak łatwe przesiąknięcie narodów indoeuropejskich nauką Chrystusową jest wymownym dowodem, że w sercu ich dźwięczały nuty, które Nowej Nauce odpowiedziały współbrzmieniem. Tony te Pawlikowski, staranną analizą, odnajduje w personalizmie, widząc w nim zasadnicze podłoże duchowe ludów indoeuropejskich, zrodzone jeszcze w mateczniku środkowo-europejskim i znajdujące w czasach starożytnych najbliższy źródłu wyraz w strukturze duchowej Greków oraz — do pewnego czasu przynajmniej — i Rzymian. To zasadnicze podłoże duchowe daje Pawlikowskiemu również i klucz do odpowiedzi na pytanie, dlaczego — mimo olbrzymiej przewagi materialnej ludów, z którymi się one zetknęły — plemiona indoeuropejskie tak zawrotną osiągnęły karierę w dziejach ludzkości. Pytanie to rozważał w 1926 roku Gordon Childe w swej słynnej książce „The Arians" i — choć nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi w „warunkach produkcji" (do czego jego nastawienie marksistowskie go niewątpliwie skłaniało) — poszedł śladami materialistycznych kierunków myśli socjologicznej i sądził, że rozwiązanie leży w „znakomitej mowie Ariów i umysłowości, jaką ona wytworzyła". Pawlikowski słusznie odrzuca tę hipotezę, wykazując, że nie mowa tworzy umysłowość, lecz na odwrót psychika ludzka przetwarza mowę do swych potrzeb.

To wysunięcie na jaw elementów personalistycznych w prakulturze Ariów pociąga za sobą pewne konsekwencje... geograficzne. Kolebką ludów indoeuropejskich była niewątpliwie Europa, a nawet, jak to Pawlikowski (zgodnie zresztą z najnowszymi poglądami nauki w tej dziedzinie) przekonywująco wykazuje, Europa Środkowa. W czasie, gdy Ariowie występują na widownię dziejów, na terenach Mezopotamii i Egiptu kwitła już stara, blisko dwa tysiące lat już istniejąca cywilizacja. Mimo całej różnorodności poszczególnych kultur, czy była to kultura sumeryjska, egipska, babilońska, a później i syryjska, wszystkie one jednak miały wspólną cechę stadności, a więc całkowitego podporządkowania jednostki społeczeństwu. Siłą rzeczy więc walka między kulturą personalistyczną a stadną przybrała już za czasów starożytnej Grecji postać walki Europy z Azją, walki, która od tego czasu, pod tą czy inną nazwą, wypełnia całą niemal historię Europy. Toteż w literaturze tego przedmiotu nazwy „Wschód", czy też „Azja" spotyka się bardzo często jako synonimy tych cech kulturalnych, jakie przynosiły ze sobą ludy, uderzające na Europę od wschodu. Nie rozumiem więc oburzenia recenzenta „Kultury", który z jednej strony pojmuje nazwę „Azja" zbyt geograficznie, z drugiej zaś nie zdaje się rozróżniać między powierzchownym mistycyzmem a prawdziwą duchowością, między technologią a nauką. Jak bowiem niedawno wykazał Crombie, choć Mezopotamia i Egipt mają niewątpliwą zasługę zgromadzenia i wykrycia obfitego materiału faktów i metod rachunkowych, które następnie stały się podstawą nauki w starożytności, to jednak cała ta ich wiedza nosiła wyłącznie charakter użytkowy, stanowiąc niezwiązane ze sobą strzępy wiadomości, dostosowane jedynie do ich praktycznego zastosowania. Strzępy te powiązali ze sobą, ułożyli w związki przyczynowe, starali się podporządkować jakiemuś wspólnemu prawu dopiero Grecy, którzy ponadto pierwsi wprowadzili dowody jako człony, wiążące przesłanki z wnioskami i pierwsi zastosowali matematykę do opisu przyrody. Jednym słowem w bogaty materiał faktyczny „Azji" ład wnieśli dopiero Grecy, powodowani przy tym bynajmniej nie jakimiś pobudkami utilitarnymi, lecz poszukiwaniem prawdy dla prawdy samej. Wnieśli więc oni w dorobek ludów „Wschodu" te właśnie cechy duchowe, które Pawlikowski słusznie uważa za typowe cechy personalizmu.

Pojęcia „Azji" nie wolno oczywiście traktować geograficznie. Przecież z jednej strony Azja była kolebką najcenniejszego, bo Boskiego elementu w naszej kulturze, nauki Chrystusowej, z drugiej zaś strony w środku Europy żyjący Niemcy, jak to dowodnie wykazuje Pawlikowski, mają w swej psychice znacznie więcej cech „azjatyckich", niż personalistycznych. Wyjaśnia to znakomicie fakt, podkreślony już poprzednio przez Giertycha, że w całej historii Europy Niemcy byli zawsze czynnikiem rozbijającym jej duchową jedność.

Ta sama myśl Ariadny w labiryncie dziejów pozwala autorowi wyjaśnić znamienny niewątpliwie fakt, że poza krajami, które krócej lub dłużej żyły pod bezpośrednim wpływem Rzymu, jedyna Polska tak dalece przesiąknęła kulturą łacińską, że stała się ona jej istotną treścią kultury narodowej. Odpowiedź, zdaniem Pawlikowskiego, tkwi w tym, że w chwili przyjmowania chrztu z rąk Kościoła Zachodniego Polacy byli ludem, który już prawie dwa tysiące lat nieprzerwanie siedział na swych dawnych siedzibach. Do siedzib tych przyszedł on w zamierzchłych czasach ze wspólnego matecznika środkowo-europejskiego, w teren tak słabo zamieszkały, że w bardzo małym tylko stopniu uległ on wpływowi jego poprzednich mieszkańców. Dzięki temu zachował on w dość czystej formie pierwotny personalizm aryjski, a tym samym odnalazł w kulturze łacińskiej ton, który blisko współbrzmiał z jego wewnętrzną treścią duchową.

Rozumiem doskonale, że ludzi chorych na narodowy kompleks niższości (typowy wytwór każdej epoki klęskowej) to sformułowanie musi doprowadzić do szału. Fakt jednak, że matecznik Słowian leżał między Odrą a Wisłą, jest już dziś nie tylko wspólnym dorobkiem nauki polskiej (by wymienić choć takie nazwiska, jak Czekanowski, Lehr-Spławiński i Sulimirski), ale również i tezą nauki poza Polską, jak o tym świadczy choćby bynajmniej o polonofilizm nie podejrzany Childe.

Wyliczyłem tu rzeczy najważniejsze, pomijając całe bogactwo innych problemów, jakie autor porusza. Jak więc widać, krąg zagadnień jest niezwykle szeroki, a synteza tak daleko idąca, że nieraz czytelnik aż traci dech. A przecież właśnie na znajdywaniu związków tam, gdzie ich przedtem nie widziano, polega postęp nauki. Do czasów Newtona nikt nie widział związku między spadającym jabłkiem a ruchem planet dokoła słońca, a dziś wie o tym każdy uczeń czwartej klasy gimnazjalnej.

Jest jednak rzeczą jasną, że — jak każda pierwsza synteza — książka Pawlikowskiego zawierać może wiele wniosków, które przyszłość odrzuci. Choćby jednak nawet w dalszym rozwoju nauki ta, czy inna teza autora okazać się miała mylną, to i tak jego wkład w historię kultury jest bardzo duży. Zwłaszcza jego teza zasadnicza, że element duchowy, a nie materialny, jest czynnikiem dominującym w kształtowaniu kultury człowieka, jest bardzo na czasie. Dziwną bowiem ironią losu w momencie, gdy w fizyce, gdzie przecież się zrodził, materializm dostał cios śmiertelny, w historii panowanie jego święci tryumfy najbardziej nieuzasadnione.

Wiele jest jednak w książce i rzeczy, co do których można by mieć niejedno zastrzeżenie. I tak np. teoria autora o rasie, choć jego przesłanki o dziedziczeniu cech duchowych są zgodne z wynikami nowoczesnej genetyki (por. np. badania nad identycznymi bliźniakami), wydaje mi się nieco przedwczesna. Dopóki bowiem nie zdoła się oddzielić tego, co jest cechą dziedziczną, od tego co jest wpływem otoczenia od najwcześniejszego dzieciństwa począwszy (a brak dotąd dostatecznego materiału obserwacyjnego), tezy autora wisieć muszą w powietrzu. Tym niemniej niesłuszne są zarzuty, że poglądy autora są „niechrześcijańskie", wysuwane zresztą przeważnie przez tych, którzy o doktrynie katolickiej niewiele wiedzą. Nie jest przecież żadną ujmą dla Demostenesa, że urodził się z wadą wymowy. Raczej na odwrót, jest to dowodem wielkości jego ducha, że mimo tej wady został Demostenesem. Podobnież nie jest żadną ujmą dla człowieka, że rodzi się z takimi, czy innymi predyspozycjami psychicznymi. To bowiem, co z tych predyspozycji wykuje jego wola — i to jedynie — jest miarą jego ducha i jego osobistym dorobkiem na drodze ku zbawieniu.

Zbędne natomiast wydają mi się te części książki, w których autor zagłębia się w niedawną przeszłość. Zbyt czynnym był on bowiem w niej aktorem, aby mógł zachować konieczną obiektywność uczonego, a tym samym wyzwolić się od głęboko w każdym z nas tkwiących urazów. Gdyby np. autor był zdolen wczytać się w pisma Piłsudskiego sine ira et studio, spostrzegłby, jak daleko są one przepojone szacunkiem dla człowieka i dla jego strony duchowej. Jeśli zaś chodzi o „azjatyckie" elementy naszego życia prywatnego i publicznego w dwudziestoleciu naszej niepodległości, to — nawet bez stosowania tak powszechnego na emigracji zwyczaju publicznego spowiadania się z cudzych win — nietrudno sobie przypomnieć, że w obu zwalczających się obozach wiele było rzeczy, które na pewno nie dadzą się podciągnąć pod objawy kultury personalistycznej. I nikt z nas nie jest dostatecznie bezstronny, aby powiedzieć, po której stronie było ich więcej. Trudno im zresztą się dziwić. Otoczeni bowiem z dwu stron imponującymi swą siłą ogniskami kultury stadnej, ulegliśmy w pewnej mierze trującym ich miazmatom. I dlatego też sądzę, że emigracja, wolna od tych wpływów, ma nie tylko możność, ale i obowiązek moralny wyplenienia ich z życia polskiego. A droga ku temu, wydaje mi się, jest tylko jedna: bezkompromisowo przyjąć etykę katolicką za wyłączną podstawę zarówno naszego życia osobistego, jak i zbiorowego.

Pewną wadą książki jest jej przeładowanie. Materiał jej jest tak obfity, że wystarczyłby przynajmniej na dwie książki. Zyskałaby na tym i przejrzystość pracy i jasność toku myślowego. Rozumiem jednak doskonale, że w naszych emigracyjnych warunkach, gdy największą troską autora jest „czy zdołam wydać książkę następną?", pokusa wypowiedzenia wszystkiego, co się w ciągu lat przemyślało, musiała być zbyt duża.

Drugą „wadą" książki jest jej trudność. Nie można jej czytać, potakując bezmyślnie lub odrzucając bezzasadnie. Każde ustosunkowanie się do wywodów autora wymaga wysiłku myślowego. Jeśli się zgadzam, muszę gruntownie przetrawić fakty podane przez autora i wnioski, jakie z nich wyciąga. Jeśli się nie zgadzam, to tym bardziej muszę szukać faktów przeciwnych lub też znaleźć luki w rozumowaniu. Książka więc zmusza do myślenia. I dlatego właśnie ta jej „wada" jest jej największą zaletą.

Tadeusz Felsztyn

TYLKO TRZY DNI

POZOSTAŁO NA ZAMÓWIENIE
NAJBARDZIEJ POPULARNEJ KSIĄŻKI WSPÓŁCZESNEJ
O TEMATYCE KATOLICKIEJ:
FRANCISZKA WERFLA

„PIEŚNI O BERNADECIE"

w drodze przedpłaty
na IV i V tom „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"
W przedpłacie oba te tomy, stanowiące całość „Pieśni o Bernadecie" kosztują 18/-.

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE,
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2



Marek Żuławski — *CHRYSTUS WŚRÓD UBOGICH*

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 28 czerwca 1953.

Listy do redakcji

SĄD O SĄDACH

Na sądy przyznające nagrody pisarskie, wydawnicze i in. na obczyźnie, a w szczególności na ostatni sąd nagrody Oddziałów Wartowniczych, spadł w ŻYCIU (nr 312) sąd, który:

nie jest sądem kapturowym, gdyż podpis J(an) B(ielatowicz) jest na tych łamach wyraźny;

lecz przez swą gromkość („niespodzianki dla społeczeństwa" o sądach i nagrodach poprzednich, „wszystko przeszedł" o ostatnim, „strach pomyśleć" o dalszych), jest sądem doraźnym.

Między dosadnością wyroku a wiotkością uzasadnień rozdźwięk jest uderzający.

Po kolei:

1. Wydawnictwom Samuela Tyszkiewicza nie odmawia sędzia sądu najwyższych pochwał („są klejnotami bibliofilskimi"), lecz godzi w nie zarzutem małego rozpowszechnienia i nagradzałby inne („druki w tysiącach nakładów"). Ale Oddziały Wartownicze chciały poprzeć właśnie „twórczość" w tej dziedzinie a nie opłacalność. Zresztą, co tu się spierać o rzecz oczywistą, bo cóż by dopiero powiedziano o pominięciu Oficyny Tyszkiewicza w nagrodach.

2. Druga nagroda („jedynie bezsporna jest nagroda przyznana Oficynie Poetów i Malarzy") jest niesporna.

3. Stanisław Gliwa („jest najwybitniejszym grafikiem polskim poza Krajem" — pisze p. J. B. — „ale dlaczego mu nie przyznać nagrody plastycznej, tylko wydawniczą?") jest też zawodowo wykształconym drukarzem i ma warsztat drukarski, tak iż w dziedzinę twórczości wydawniczej wchodzi jak mało kto, więc czyżby znowu lepiej było go pominąć?

4. Anatol Girs (u p. J. B.: „Kto to był Girs z Detroit, bliżej niewiadomo" i to wszystko), nie ...był, lecz na szczęście jeszcze... jest, choć było krucho, nie z Detroit, lecz w Detroit, a z Warszawy, współzałożyciel przed wojną Oficyny Warszawskiej (z Barczem, który padł w powstaniu), potem... był w Oświęcimiu i w Dachau, a po wojnie i natychmiast po wyjściu z kaźni obozowych drukuje od r. 1945 samotnie kilka pięknych książek w Monachium, w roku zaś 1947 przenosi tę działalność do Detroit w St. Zj. A.

5. O Franciszku Prochasce, od kilku dziesiątek lat grafiku i drukarzu w Paryżu, w ogóle ani słowa, czyli... niewiadomo ani bliżej ani dalej.

6. Bogdan Gajewicz: naprzód... źle, że dostał nagrodę, a następnie... źle, że za małą.

7. Księga Pamiątkowa Słowackiego („wydano ją za sute pieniądze") mimo całkowitej bezpłatności współpracownictwa, wyłącznie na koszty druku, ma niedobór, którego część pokryje nagroda, więc chwyt, że „w Jury zasiadało aż troje na 6 osób (przyp: na 7) współautorów Księgi Słowackiego, czyli, że Jury nagrodziło siebie" jest nieładny.

Tak wyglądają zarzuty przeciw ostatnim nagrodom.

Sprawę „niespodzianek" nagród poprzednich oświetli pełny spis nagrodzonych:

(Veritas 1950): Beata Obertyńska, T. Nowakowski, E. Różycki, B. Kobrzyński, B. Przyłuski, W. Wasiutyński; (Veritas 1952): T. Parnicki, J. Jasieńczyk, M. Winowska, Z. Bohdanowiczowa, prof. St. Kościałkowski, Michał Sambor; (Kombatanci 1951 i 1952): gen. M. Kukiel, G. Herling-Grudziński, prof. O. Halecki, książka o Cichociemnych; (Oddziały Wartownicze 1950): W. Grubiński, K. Wierzyński, P. Hostowiec, J. Kowalewski; (Gruźlicy w Niemczech 1952): J. Łobodowski; (Ob. Komitet P. P. w Londynie 1951 i 1952): H. Naglerowa, Jan Lechoń; (Dziennik Polski 1950-1952): M. Grydziewski, Z. Nowakowski, S. Stroński (jedna niespodzianka na tyle nazwisk ujdzie).

Czy dobrze jest bić na trwogę („przeszedł wszystko", „strach pomyśleć") i zrażać ofiarnych twórców nagród za twórczość?

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Stanisław Stroński

APELACJA

Jeden dowcip muszę z miejsca zdmuchnąć. O Girsie. Skutkiem błędu korektorskiego zdanie: „Kto by to był Girs, bliżej niewiadomo" wyszło spod prasy jako: „Kto to był Girs..."

Kto by to był Girs, prof. Stanisław Stroński dziś wie już dobrze. Ciekaw jestem, czy wiedział tak samo na dzień przed zebraniem Jury, na które dr Tymon Terlecki przygotował uzasadnienie swoich wniosków.

Niżej podpisany zadał sobie trud zebrania ankiety wśród 10 pisarzy w Londynie na temat działalności wydawniczej i osoby Girsa. 10 odpowiedzi brzmiało: „nie wiem". Z czego nie wynika, że Anatol Girs nie jest rzeczywiście znakomitym grafikiem. Istnieje jednak przesąd, że działalność kulturalną mierzy się rezonansem społecznym.

Oddziały Wartownicze skrępowały, jak się okazuje, członków Jury zastrzeżeniem, że należy nagrodzić „twórczość, a nie opłacalność". Do pierwszych obowiązków Jury należało zatem powiadomić śpiesznie, najlepiej listem lotniczym, Oddziały Wartownicze, iż: 1) opłacalność nie jest przeciwieństwem twórczości, przeciwnie dobra twórczość jest zwykle bardzo opłacalna i 2) że nie można przeprowadzać w dziedzinie wydawniczej granicy między dziełami sztuki a „przedmiotem użytkowym, jak but czy parasol", jak pięknie się wyraził uzasadniając orzeczenie Jury dr Terlecki.

Skąd członkowie Jury mieli pewność, że Oficyna Poetów i Malarzy nie zarabia na swych drukach a Prochaska na swych drzeworytach i że Veritas, Gryf czy Instytut Literacki zarabiają? Twierdzę, że jest akurat odwrotnie i chętnie służę dowodami. Wymienione placówki wydawnicze na książkach nie zarabiają, bo książka polska na obczyźnie od dawna przestała być interesem handlowym. Powinni o tym dobrze wiedzieć członkowie Związku Pisarzy. Wprowadzanie właśnie przez nich podziału na krwiopijców-handlarzy książką i idealistów-artystów jest wprowadzaniem w błąd społeczności emigracyjnej i zniechęcaniem wydawnictw z prawdziwego zdarzenia do godnej podziwu ofiarności, zwłaszcza jeśli się wyniki ich pracy porównuje z butami i parasolami. Bez jednego czy pięciu druków Girsa kultura polska przetrwa szczęśliwie, ale bez autentycznych wydawnictw książkowych na obczyźnie może być poważnie zagrożona.

Wyjątek zrobiono dla Księgi Pamiątkowej w stulecie zgonu Słowackiego. W tym wypadku bowiem prof. Stroński przekonał się namacalnie, że wydanie książki na emigracji, to nie żaden interes handlowy. Nagrodzono nie wydawców i nie drukarnię, lecz po prostu „Księgę Pamiątkową", a więc autorów a już conajmniej redaktorów, do których należał prof. Stroński. Trzech autorów „Księgi" zasiadało w Jury. Stwierdzenie faktu, że Jury nagrodziło siebie nie jest ani zarzutem ani tym bardziej „nieładnym chwytem", a tylko sylogizmem.

Lista nagród sporządzona przez prof. Strońskiego unaocznia doskonale, ile to już mamy za sobą niespodzianek i budzi podejrzenie, że licho nie drzemie.

J. B.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

CONRAD I SAINT-EXUPÉRY. W artykule na łamach „Figaro Littéraire" z dnia 13 czerwca Roger Caillois podkreśla, że krytyka literacka niejednokrotnie już i z dużą słusznością porównywała zmarłego młodo pisarza - lotnika Saint-Exupéry z Josephem Conradem-Korzeniowskim, „marynarzem polskim, który pisał powieści w języku, nie będącym jego mową ojczystą".

Pod koniec życia — pisze Caillois — Conrad osiągnął swój pierwszy sukces książkowy. Widział on w tym dowód, że mógłby grzeszyć przeciw smakowi, ale nigdy „przeciw zasadniczym uczuciom i podstawowym przekonaniom, które czynią życie możliwym dla szerokich rzesz ludzkich". Conrad gratulował samemu sobie powodzenia swej książki w słowach następujących: „Obawiałem się zawsze w najwyższym stopniu, że mógłbym nieświadomie być doprowadzony do roli pisarza, zacieśnionego do granic małej kapliczki. Byłaby to rola dla mnie ohydna i podważająca we mnie przekonanie, które uważam za słuszne, — przekonanie o solidarności całego rodzaju ludzkiego wobec idei prostych i uczuć szczerych".

Podobna, zdaniem Caillois, była postawa pisarska Saint-Exupéry'ego który „także pozostawał w bliskim kontakcie z szerokimi masami społeczeństwa i nie lubił łamać solidarności rodzaju ludzkiego wobec idei i uczuć szczerych. Dzieła jego nie ignorują wspólnych trudów, trosk najbardziej rozpowszechnionych, radości najbardziej podzielanych... Uprawiając swe rzemiosło pisarskie Conrad i Saint-Exupéry dalecy byli od korzystania z pracy społeczeństwa — to ono, przeciwnie, korzysta z ich wysiłku twórczego. Korzysta nie w sposób dyskretny, ledwo widzialny, jak to się zdarza w innych zawodach, ale w sposób wybuchowy i nadzwyczajny... W ten sposób społeczeństwo staje się ich oczywistym dłużnikiem. Conrad i Saint-Exupéry byli w łonie społeczeństwa siłami żywymi. Stąd właśnie sztuka ich czerpie wyjątkową zupełnie siłę promieniowania".

Te uwagi publicysty francuskiego są jeszcze jednym przejawem nowej fali głębokiego zainteresowania twórczością Conrada, jaka przejawia się na Zachodzie, zarówno wśród rzesz czytelników, jak wśród wielu najwybitniejszych pisarzy i krytyków literackich. Jedno tylko sformułowanie p. Caillois musi budzić zastrzeżenia, to mianowicie, w którym zdaje się on sugerować, że wymogi artyzmu odgrywały w postawie pisarskiej Conrada rolę niejako drugoplanową. Przeciwstawienia takiego wykryć nie można ani w samych dziełach Conrada, ani w jego wynurzeniach na temat roli pisarza, ani też w tym, co wiemy o wysiłku, z jakim tworzył swe powieści. Wyrażanie „idei prostych i uczuć szczerych" kojarzyło się u niego zawsze nierozłącznie z dążeniem do artystycznej doskonałości, którą istotnie osiągnął w najlepszych swych utworach.

Swe uwagi o Conradzie i Saint-Exupérym Caillois rzuca na tło ogólnej charakterystyki literatury współczesnej. Z jednej strony okazuje ona tendencję do zatraty swej niezależności, cech sobie właściwych, swej „bezpłatności". Zdarza się, że staje się narzędziem rządów, mającym na celu szerzenie i objaśnianie ideologii tego czy innego reżymu; zdarza się również, że pod naciskiem ewolucji, która niczego nie oszczędza, i literatura nabiera charakteru wytworu przemysłowego, fabrykowanego i konsumowanego seryjnie i mającego przynosić dywidendy. Po drugiej stronie, na boku, istnieje rodzaj oszańcowanego obozu, w którym grupa nieprzejednańców opracowuje algebry, zrozumiałe tylko dla nich samych i nie pozostające w żadnej relacji do czegokolwiek, znajdującego się u podnóża murów ich Akropolu. Między tymi dwoma rodzajami literatury istnieją różne odmiany kompromisów, stwarzających złudne wrażenie pewnej ciągłości.

Stosunek Caillois do obu tych rodzajów literackich jest zdecydowanie negatywny i im to właśnie przeciwstawia on twórczość Conrada i Saint-Exupéry'ego.

NOWY PRZEKŁAD „ORACULO MANUAL". Słynne dzieło jezuity hiszpańskiego z XVII wieku Baltazara Gracjana „Oraculo Manual" ukazało się w nowym przekładzie angielskim, którego dokonał jeden z najwybitniejszych hispanistów brytyjskich, prof. L. B. Walton z uniwersytetu edynburskiego. Przekład nosi tytuł „The Oracle. A Manual of the Art of Discretion"; obok niego podany jest oryginalny tekst hiszpański, całość zaś zaopatrzona jest wstępem krytycznym i przypisami prof. Waltona. Zaznacza on, że dzieło Gracjana tłumaczone było na języki francuski, włoski, niemiecki, holenderski, polski, węgierski i na łacinę. Przekładów polskich jest — jak wiadomo — kilka; na emigracji ukazał się parę lat temu, w pięknej szacie zewnętrznej, przekład Bogdana Gajewicza p.t. „Brewiarz dyplomatyczny".

W swym wstępie Walton, charakteryzując Gracjana jako moralistę, odpiera kierowany przeciw niemu zarzut szerzenia „nieszczerości" i podkreśla wpływ, jaki na umysł Gracjana wywarli jezuici, wśród których się wychował. „Jezuici — pisze Walton — nie deklarowali, jak Kalwin i jak później Kościół szkocki, że człowiek jest „zupełnie nieskłonny do dobra, ułomny i przeciwny wszelkiemu dobru". Mieli oni jednak pogląd ujemny na niewspomaganą wolę ludzką jako na drogę do zbawienia. Przez „nawiązanie łączności" z łaską Boską wola ta może być wzmocniona w kierunku wykonywania dobrych uczynków, a z punktu widzenia czysto ludzkiego może być użyta jako narzędzie do kierowania i opanowywania wyobraźni".

Przekład Waltona wydała firma Dent; cena 16 szylingów.

„DER GROSSE BROCKHAUS". W Wiesbaden ukazały się dwa pierwsze tomy nowego wydania znanej encyklopedii niemieckiej „Der Grosse Brockhaus", której pierwsza edycja pojawiła się w r. 1809. Wydanie obecne jest szesnastym z rzędu. W porównaniu z ostatnim wydaniem przedwojennym zredukowane zostało z 20 do 15 tomów, gdyż — zdaniem wydawców — dochody warstw średnich w Niemczech są dziś za szczupłe, by ludzie mogli przeznaczać wiele pieniędzy na taki cel, poza tym zaś w wielu nowych domach brak jest po prostu miejsca na pomieszczenie dwudziestu wielkich tomów.

Wydawcy innej wielkiej encyklopedii niemieckiej „Der Grosse Meier" pozostali w Lipsku, a więc w zonie sowieckiej i nie słychać nic o przygotowaniach do nowego jej wydania.

Oba te wydawnictwa są napisane w duchu protestanckim: katolicką encyklopedię „Der Grosse Herder" wydała firma Herder we Fryburgu niemieckim.



ADAM KOSSOWSKI

Wizja św. Szymona Stocka (ustanowienie nabożeństwa szkaplerza) — model ceramiczny płaskorzeźby w kościele w Aylesford w Kencie, dokąd w niedzielę 5 lipca udadzą się Polacy w pielgrzymce pokutnej z Londynu. Kościół i opactwo zdobił polski artysta Adam Kossowski.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

„GLORIANA"

W ramach uroczystości koronacyjnych odbyło się 8 czerwca w teatrze Covent Garden galowe przedstawienie nowej opery Benjamina Brittena „Gloriana" z udziałem Królowej, członków rodziny królewskiej, zagranicznych książąt przybyłych na koronację, członków korpusu dyplomatycznego, przedstawicieli rządu i opozycji. Zbudowano nową wspaniałą lożę królewską, którą na przedstawienie ozdobiono girlandami z trzech tysięcy świeżych róż.

Przepychowi loży królewskiej odpowiadały piękne i bogate dekoracje, wykonane przez J. Pipera. Sama jednak opera nie znalazła przychylnego przyjęcia przez recenzentów. Szczególnie ostrej krytyce poddał ją członek Izby Gmin, zarazem zaś sprawozdawca teatralny „Evening Standard" Beverley Baxter. Z artykułu jego dowiadujemy się, że opera skomponowana została na zamówienie Arts Council i że treść jej miała gloryfikować Elżbietę I jako twórczynię wielkości Anglii i świetną poprzedniczkę obecnej Królowej. Zamiast tego — skarży się Baxter — Britten i jego librecista Plomer wzięli jako, temat „żałosną historię miłosną starzejącej się królowej i młodego Essexa". Essex powróciwszy niespodziewanie z Irlandii zastaje w gotowalni królową nieprzygotowaną zupełnie na jego przyjęcie, pozbawioną peruki, którą zwykle nosiła, i na widok oznak jej starości doznaje głębokiego rozczarowania. Opera kończy się skazaniem Essexa na śmierć przez królową, przeciw której spiskował, i oświadczeniem Elżbiety, że zawsze pragnęła służyć tylko swemu narodowi.

Baxter rozczarowany jest nie tylko librettem, ale w znacznej mierze i muzyką „Gloriany". Przyznając, że zawiera ona miejscami pasaże delikatne i piękne, niezwykle ostro charakteryzuje muzykę ostatniego aktu, muzykę, jak pisze, „równie hałaśliwą i brzydką, jak odgłos młotów, uderzających w szyny stalowe". „Wolałbym siedzieć w fabryce kotłów — konkluduje — niż słuchać znów muzyki tego aktu".

Krytycznie również ocenia „Glorianę" recenzent muzyczny „Daily Telegraph" Richard Cappell. Nie podoba mu się historia Elżbiety I i Essexa, toteż podkreśla, że „Glorianę" należy traktować nie jako dramat, ale raczej jako widowisko (pageant), a w tym zakresie „Gloriana" jest efektowna: na scenie widzimy królewskie pochody, bal maskowy i bal dworski. Co do muzyki Cappell nie jest tak surowy, jak Baxter, nie jest też jednak nią szczególnie zachwycony i uważa, że Britten nie włożył serca w swą nową operę („his heart was not in the enterprise").

W przeciwieństwie do tego, Eric Bloom w Sunday Times" występuje z obroną „Gloriany". „Niech mi kto wymieni więcej niż tuzin oper całego świata, które by bez żadnej wątpliwości uznać można było za naprawdę dobre" — oświadcza. Chwaląc Brittena, zarzuca mu jednak „pewną uczuciową oschłość".

WSKRZESZENIE GOGA I MAGOGA

W końcu grudnia 1940 roku Niemcy zniszczyli bombami zapalającymi wielką część londyńskiej City. Wypalił się wtedy i piękny ratusz staromiejski Guildhall, w którym w roku 1848 Chopin dał swój ostatni w życiu występ publiczny. W pożarze uległy zagładzie postacie dwóch legendarnych olbrzymów: „Goga" i jego brata „Magoga".

Podobnie jak tyle gmachów dawnej Warszawy, Guildhall został zrekonstruowany według dawnych wzorów. Ostatnio odsłonięto postacie Goga i Magoga, wyrzeźbione na nowo przez Davida Evansa. Wykonanie tych rzeźb zajęło dwa lata, a rzecz całą sfinansował Alderman Sir George Wilkinson, Lord Mayor miasta Londynu w okresie bombardowań niemieckich. Odsłonięty został równocześnie nowy wielki zegar Guildhallu w miejsce dawnego, zniszczonego wraz z Gogiem i Magogiem.

„SPONSORED TELEVISION"

Prasa brytyjska doniosła z oburzeniem, że amerykańskie stacje telewizyjne przeplatały nabożeństwo koronacyjne w Opactwie Westminsterskim reklamami handlowymi. W tej sprawie BBC wydało komunikat, stwierdzający, iż instytucja ta już w styczniu r. b. rozpoczęła dyskusje z trzema głównymi przedsiębiorstwami radiowo-telewizyjnymi w Ameryce: National Broadcasting Company, Columbia Broadcasting System i American Broadcasting Company w sprawie telewizyjnych obrazów koronacji. Przedstawiciele tych przedsiębiorstw oświadczyli, że telewizja ceremonii koronacyjnych w Westminster Abbey w żadnym razie nie będzie przerywana ogłoszeniami. Niestety, tak się nie stało, wobec czego przedstawiciel BBC zapowiedział wniesienie protestu do wszystkich tych trzech instytucji.

Cała ta afera stała się dla kierowniczych czynników Labour Party impulsem do ostrzejszego jeszcze, niż dotąd, przeciwstawienia się tak zwanej „sponsored television", to jest do dopuszczania reklam handlowych do programów telewizyjnych w myśl planu, opracowanego przez obecny rząd konserwatywny.

KRONIKA

Boże Ciało we Lwowie. Według agencji bolszewickiej TASS, we Lwowie ks. Karol Yastshemsky (Jastrzębski) po sumie poprowadził procesję Bożego Ciała poza murami katedry; podobno i w innych kościołach miały odbyć się tradycyjne procesje. W Moskwie na zewnątrz kościoła św. Ludwika dla użytku misyj zagranicznych miały odbyć się dwie procesje: jedna rano, druga wieczorem. TASS stwierdza także, że w katedrze w Rydze wielka ilość wiernych wzięła udział w uroczystościach Bożego Ciała.

* * *

Boże Ciało w Adampolu. W starej kolonii polskiej w Turcji, Adampolu, nazwanym tak od imienia księcia Adama Czartoryskiego, odbyła się procesja Bożego Ciała, celebrowana przez przebywającego na wizytacji arcybiskupa Gawlinę. Procesja ta przyciągnęła uwagę Turków, którzy 500 lat temu, w roku 1543, zajęli Konstantynopol, zadając ostateczny cios cesarstwu wschodnio-rzymskiemu.

MATERIAŁY OŚWIATOWE SPK. DZIAŁ ODCZYTÓW: STEFAN ŁOCHTIN: Metody sowietyzacji w krajach Europy środkowo-wschodniej. Cena 1/-, przesyłka 3 d. Do nabycia: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7 i wszystkie księgarnie polskie.

I TOM SERII ZIELONEJ (OBEJMUJĄCEJ KSIĄŻKI POPULARNO-NAUK.) BIBLIOTEKI POLSKIEJ:

ŚWIAT W OCZACH WSPÓŁCZESNEJ NAUKI

(Najnowsze odkrycia naukowe)

DRA TADEUSZA FELSZTYNA

ukaże się w lipcu 1953 r.

Książka ta omawia między innymi następujące zagadnienia:

przewrót w poglądach na materię — rozbicie atomu — wiek ziemi — atmosfera — pogoda — dlaczego słońce świeci — powstanie układu słonecznego — budowa wszechświata — jego początek — różnice między istotami żywymi a ciałami martwymi — dziedziczność — ewolucja — prądy mózgowe — pochodzenie człowieka.

30 ilustracyj — reprodukcje zdjęć dokonanych przy pomocy największego teleskopu.

Cena w przedpłacie 8/6 i 6 pensów za opakowanie i przesyłkę.

PRZEDPŁATA TYLKO DO 30 CZERWCA BIEŻ. ROKU

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9,34. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leeandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 1c Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83. East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.